

# P I S M A

**Edwarda Marjana.**

22871



**Wydanie Adama Zawadzkiego.**

---

**W I L N O.**

**NAKLADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.**

**1842**

**1 8 4 2.**

<http://rcin.org.pl/ifis/>



22871

Печашашъ позволяешся съ шѣмъ, чтобы по ошпечашаніи  
представлено было въ Ценсурный Комитетъ узаконенное  
число экземпляровъ. Кіевъ 1841 года Октября 8го дня.

*Ценсоръ Ор. Навицкій.*

Д.  
27.5.61  
А. 218/61  
ММ.



I.

**Inez de Castro.**

H-121586



Inez de Castro.



~~SZPITAL  
Przemienienia Pańskiego  
w Prażce.  
Oddział Dra B. JAKUBKA~~

## I.

### Inez de Castro.



KTÓŻ z nas nie zna Inez de Castro, tego dramatu pełnego czucia i nudów, scen okropnych i zimnych, usypiających i rozrzewniających?—w czyjejże wyobraźni nieu-  
tkwiła ta nieszczęśliwa, piękna kochanka Don  
Pedra, zamordowana przez ludzi-szatanów, któ-

rych nie mogła poruszyć nawet pięknnością, nawet łzami i rozpaczą? — Któraż aktorka nie odbierała oklasków ile razy jej rolę odegrywała, choćby nawet nędznie; przebaczone błędóm aktorki, skoro charakter nieszczęśliwej Inez na siebie przyjęła. I w istocie cóż może bardziej zachwycać jak obraz kobiety — dziewicy, kochającej z całym ogniem południowym, narażającej się na pioruny, na piekło ziemskie dla zaspokojenia tylko tego popędu serca, niewinnego a ognistego, co nie może żyć samotnie, co musi znaleźć drugą równie niewinną, równie ognistą duszę. Bo i cóż to puste życie nasze! — życie nudów i ciągłych zawiedzionych nadziei, jeżeli nie użyjemy nawet jednej chwili prawdziwego życia; jeżeli w uścisku, długim na miarę szczęścia, choć chwilowym w rachubie ziemian, nie zapomnimy o tym świecie, co nas nazywa dziećmi, kiedy go kochamy z zapalem, a zaczyna czcić wtedy dopiero, gdy nasze serce przekwitnie a głowa do trumny się chyli; jeżeli wśród wiru świata, nie uda się nam wydobyć z chaosu, choć jedną istotę, coby pojęła myśl

naszą i rozumiała mowę, wśród obojętnych dla nas cudzoziemców! — bo i czémże są ci ludzie, z którymi nie mamy wspólnego, jak postać ciała; czém są dla nas, jeżeli nie cudzoziemcami, co mowy duszy naszej nie pojmują; serca nie rozumieją. Trzebaż powiedzieć z Petrarką: „nie uskarżaj się duszo, ale cierp i milcz” (\*); nie, dusza, niech szuka, drugiej podobnej, a świat dla niej rajem zostanie — rajem, jak Coimbra dla Don Pedra, kiedy kochał Inez.

Zdaje się jednak, że autor tragedji Inez de Castro, bardzo zimne posiadał serce — nie pojął tego obrazu, który chciał odmalować; chwycił tylko kilka odrysów, dramatycznych wprawdzie, ale prozaicznych na wagę serca; wprowadził kilka monologów, zwrócił uwagę na nikiemnych ludzi, co zazdrościli szczęścia kochankom, wszystko to pokrył barwą deklamacji nudnej, zaspanej, przestarzałej; zimny duch rosprawiania zanadto gra tam wielką rolę, i cała piękność obrazu, w tym

---

(\*) Alma non ti lagnar ma soffri e taci.

bladym kolorycie, wygląda jak roszkzna oko-  
lica południowa, przeniesiona w jesienne nie-  
bo północy. Nigdzie nie widać prawdziwego  
ducha obrazu — nie widać téj miłości, tego  
wśród niéj zapomnienia się o całym świecie,  
który wówczas niewart nawet jednego — Ko-  
cham ciebie!.. nie ma téj lubéj tęsknoty, te-  
go porywającego dźwięku — nie słów, ale my-  
śli, dźwięku, którego musiało być tyle  
w miłości Inez. Autor wszystko naciągał do  
formy, ja puszczam wodze prawdzie — Przy-  
patrzmy się Inez.

Niedaleko Coimbrы toczą się przezroczyte  
wody Mondengo, do których jak dzieci do  
matki kochanéj, błędne strumienie, nasyc-  
one widokami łąk i kwiatów, wpadają i razem  
dalej biegną. Wokoło ciągną się roszkzne  
gaje laurów i pomarańcz, Dafne i Magnolia  
zdobią je, jak róże czoło dziewicy, a cyprys  
Portugalski, jak obłok tęsknoty, zieleni się  
ciemno i dodaje nowego wdzięku roszkznej  
okolicy — wdzięku, który ten pojmie, kto  
zrozumiał myśl tęskną, spoczywającą na dwóch  
łzach, co błysną w pięknych oczach. Wśród



tego raju, który szanuje skwar słońca południowego, piękna rozciąga się dolina, a na niej bijące źródła, *fonte das Lagrimas*, czy dla tego tak nazwane, że wyrzuca wody, jak łzy czyste, czy dla pamięci losu nieszczęśliwej Inez

Daliej, wśród rokosznego ogrodu piękne wiejskie mieszkanie, *Quinta das Lagrimas*,—mieszkanie Inez. W takim to ustroniu obrała godny siebie przybytek miłość nieszczęśliwa a ognista, pełna takiego życia, co się zdawało nieśmiertelném, i tak piękna, że sama nawet śmierć powinna się była wstydzić taką miłość przecinać.—Ale wieki przeszły i ona przebrzmiała, tylko też same laury i pomarańcze, też same bukiety magnolii do dziś dnia zdobią piękną Quintę, i tenże sam szum spadającej fontanny łez, przypomina jeszcze przychodnióm przeszłość, jeszcze jak dawniej mówi: tu się zatrzymaj — tu było dwoje ludzi najszczęśliwszych — *Kochali się!*— Don Pedro Infant Portugalski był energicznym człowiekiem; — a dusza energiczna, jeżeli przyjmie wrażenia, dłużej je pewno zatrzyma, od tych

dusz szklanych, po których wszystko się prze-  
 śliznie, i które po długim nudnym życiu, za-  
 wsze zostają szklanne, zawsze gładkie, za-  
 wsze zimne. Don Pedro poznał Inez de Ca-  
 stro, mieszkającą w swém ustroniu czarodziej-  
 skiém, istną Najadę gajów Coimbrzy.— Nie  
 opiszę jój wdzięków, bo są obrazy, które po-  
 piórem tracą na doskonałości, taką zapewne  
 Inez była. Pewny jednak jestem, że musiała  
 mieć te czarne oczy z dyamentową powłoką  
 któremi tak łatwo jest wyryć, co się podoba  
 na każdym a każdym sercu, musiała mieć to  
 życie z innego świata w twarzy, to życie ja-  
 sne, oślepiające — ten urok liców, w którym  
 jak w zachodzące słońce nie smiej patrzeć dłu-  
 go, bo oślepniesz — ten wdzięk, to życie  
 które każdego zachwyci, kto sam żyje. Jakże  
 nie miał ją kochać Don Pedro! czas więc  
 który tylko lekkie rany prędko leczy, czas ten  
 silniej, głębiej wrażał obraz Inez w jego du-  
 szy. Kochali się! i cóż nad to powiem. Don  
 Pedro zapomniał, że jest Infantem, że ma  
 ojca Alfonsa IV, ojca starca, który w mło-  
 dości był starcem, że ma szpiegów nad sobą

co nie zasną dopóki nie wyszpiegują winę, zbrodnię, choćby wreście cnotę. Zapomniał, bo był najszczęśliwszym.

— „Don Pedro ma tajne związki z Inez de Castro” — mówił raz mnich spowiednik Królewski, i utopił w Alfonsie spójrzenie bazyliuszka, w którym przebijało się szyderstwo i ta pewność władzy bezprawnie nabytej, którą wówczas cieszyła się Inkwizycja Ś., i którą hojnie rozlewała na wszystkich swoich klientów. — „Don Pedro codziennie wyjeżdża pod pozorem polowania, aby się widzieć z Inez — zdaje się, że nabędziesz Królu synowę w Inez de Castro;” i znów się uśmiechnął piekielnie, i zaczął odmawiać *Ave*, bo dzwony uderzyły na *Angelos*. Alfons zbladł — już dawniej wiedział o tém — już dawno myślał co począć — za nadto bowiem był pewnym, że go Infant nie usłucha, — rozmowa była długa; wkońcu Król powiedział — „Co począć?” — mnich się przeżegnał i rzekł cicho z pokorą: — „Bóg niech uwolni Portugalję od tego nieszczęścia.” — „Ja pytam, co my robić mamy, a nie Bóg,” — rzekł Król znów. — „Przyspieszyć sądy Bo-

skie!”— „Jak to?”— „Duszę Inez wysłać do Nieba, póki nie zasłuży na piekło, sprowadzając tyle nieszczęścia na Portugalję — Królu, krew Inez mniej waży w oczach nieba niż szczęście twego narodu!”— „Więc ma zginąć?”— „Powinna!”— „Jak to, zamordować?”— „Zamordować, gdy tego potrzeba;”— kończył mnich pokorny. Rozmowa się skończyła.

W tejże samą chwilę, kiedy przedawano krew Inez, ileż szczęścia brzegi Mondengo widziały! „Inez! droga Inez! linda Inez! (piękna) — Pedro! Pedro!”— uścisk resztę dokończył, i pewno lepiej niż długi monolog *romanesco* wypracowany— ciche godziny słodko płynęły — Inez i Pedro było to jedno — jedno wonne technienie, co taką jest piękną modlitwą dla Boga, jak żadna fanatyzmu i trwogi cześć mu oddawana.— „Tyś dzisiaj taka blada Inez moja!—ty musisz cierpieć.”— „Ach i bardzo cierpię— ale w tém cierpieniu jest tyle szczęścia, tyle uroku, że chciałabym tak cierpieć życie całe i wieczność, i potem za wiecznością nawet!”

— Któż, któż jest przyczyną cierpień mojej Inez?

— Schwytaj tego wroga— o nie!— umknie ci— rzekła z swawolnym uśmiechem, zanurzając wzrok swój w oczach Don Pedra. I znowu twarz jej powlekła się obłokiem marzenia, a w oczach blado świeciła jakaś myśl tęskna, jak pamięć snu rokosznego, którego barwy już, już zatrzeć się mają, a dusza jeszcze chce ożywić.— „Dziecinną jestem Don Pedro— nie raz mię rzecz najmniejsza trwoży, wszystko mi coś złego wróży.— Dzisiaj czekałam nad brzegiem strumienia na bukiet twój i pismo kochane, czekałam długo, a strumień zdawał się mówić: daremno czekasz, dziś go nie będzie!— nie wierzyłam słowom strumienia: a onby tak nie mówił, gdyby miał fale wrzące jak serce moje, onby tak nie mówił przynajmniej przez litość nade mną, ale go ludzie zimni nauczyli okrucieństwa.— Kilka łez padło mi z oczów nie wiem dla czego— byłam bardzo smutna— wtém widzę, ta piękna zielona gałąź dębu, ten kochany poseł twój płynie ku mnie, biegnę naprzeciw,

chcę wziąć kwiaty, list twój — zadrżałam, ptaszek tylko siedział na gałęzi, twoje kwiaty fala porwała, twoje pismo przepadło — już mi sił nie stało — serce zaczęło płakać, a łzy przez oczy smutku wypędzić nie zdołały. Ale znowu widzę ciebie — jesteś! — więc to nieprawda co strumień mi mówił, co ten ptaszek śpiewał, że mój Pedro przepadł dla mnie!”

I znowu nastąpił uścisk — i znowu jedna modlitwa dziękczynna od dwóch dusz szczęśliwych leciała do Nieba — i znowu uścisk, którego urok nie do pojęcia w chwili istnienia, niewytlómaczony kiedy przejdzie.— Gaje chyba rozumiały te dwa serca płonące, chyba bukiety magnolji, gałęzie laurów, cyprysy pojęły ich miłość, bo magnolje i laury blask nad ich głowami rozlały hojniej, a cyprysy jeszcze smutniej patrzyły w niebo, żalując że i taka nawet miłość przejść musi, że i taka nawet pieśń niebieska przebrzmi bez powrotu.

Dla czego Inez tak się lękała o swego Don Pedra, łatwo pojąć — Portugalczycowie jak Hiszpanie są dumni, mściwi; miłość jest dla nich, jak każda namiętność dla południowca,

pokarmem duszy w pewnej tylko porze wie-  
 ku — a im gwałtowniejszą jest w wiosnie ich  
 życia, tém łatwiej przekwita, zostawując re-  
 sztę dni tém pustszą lub pełną tylko namiętno-  
 ści brudnych. Inez lękała się może o los wła-  
 sny, może o Pedra, a może lękała się o los  
 swój miłości — bo zawsze jesteśmy samoluba-  
 mi, kiedy nawet kochamy, interes sen nam  
 odbiera; a któż wie, może to tylko było owe  
 wyrazem nieoznaczone czucie serca, co lubi  
 żyć tęsknotą; owa myśl smutna, przychodzą-  
 ca do duszy długo, długo szczęśliwej — i cóż  
 dziwnego, że dusza wówczas błędnym nawet  
 maróm tęsknoty, nadaje zatrwajającą postać  
 nieszczęść? — dusza wówczas jak piękna łąka  
 w maju — biada jej, gdy zawyje wiatr pół-  
 nocny, i zimnym śniegiem pokryje jej łono.  
 Dodajmy do tego, że nawet w miłości zostaje  
 jakaś odrobina zimnej rozwagi, — rozsądku jak  
 mówią, co nam świat pokryty barwą odbitą  
 od serca naszego, zaczyna wystawiać w kolo-  
 rze naturalnym. Biada i wówczas sercu! —  
 rozerwane na dwoje do nikogo nie należy;  
 od ideałów odciąga je rozwaga zimna, od

rozwagi ideały piękne, i tak wiecznie męczyć się musi. Może i dla Inez ta smutna godzina wybiła. Była nadto trwożliwą, bo też nadto szczęśliwa. Nieraz zbliżona do ludzi, kiedy zobaczyła zimną i groźną twarz, postać nieruchomą, odzianą w Sombrero, z pod którego przebijała się błyszczącą plama na pierśsiach, serce jęj zadrżało — wspomniała — to pewno sztylet — i krew jęj ziębła nagle, jak gdyby ostrze jego już przeniknęło do samego źródła tęj wiecznie falującej się krwi — nieraz zdawało się jęj, że jest w trumnie, kiedy nabożne mnichy spiewali: *miserere* i *nuestra senhora de las angustias*, co tak pięknie wygląda w Kościele Coimbry — zdawało się jęj tylko mówić: biada tobie! — I któż opíše wszystkie urojenia duszy namiętnęj, wszystkie jęj trwogi, kiedy się raz rzuci w otchłań widziadeł okropnych; przecucie było dla nięj wiecznie grożącym sztyletem, bo i czémże jest ono, jeżeli nie tēm zimném sztyleta, co pierwięj przenika na wskrós serce, nim samo ostrze przeniknie? Ale na szczęście, miała pociechę — jedna chwila przytomności Don



Pedra rozpędzała te larwy, i znowu niebo jéj myśli było błękitne, ciche, zaludnione aniołami tylko, i serce jak łódka po długich burzach kołysało się nadzieją szczęścia bez przecucia burzy lekko, jednostajnie, że musiało wreszcie usnąć, zapomnieć, że istnieje na téj ziemi, że nawet jest ziemia jaka, że na niéj cierpieć można. Język śmiertelny nie ma wyrazu na określenie tego czucia.

Tak przeszło dni wiele i miesiące, Don Pedro codzién był mocniéj zakochany.— „Ty musisz być na tronie Portugalji Inez droga!” — nieraz mówił z dumą; a wtedy marząca Inez odpowiadała z westchnieniem:— „, ach! Pedro nie myśl o tém— ile razy wspomnę, że ten tron twój złoty, że złoto piersi me odzieje, że złota korona przygniecie czoło moje — trwoga mię porywa — ach! to złoto mrozi miłość naszą, a któż wie, może i życie.— Nie jesteśmy szczęśliwi tutaj, patrz w koronie tych magnolij, tych laurów— róże u nóg naszych— o! na tym tronie, czyż nieprawda, tak długo byliśmy szczęśliwi i będziemy jeszcze — a tam na twoim zimnym złotym tronie ja prędko

umrę!” — Na samą myśl rozłączenia, bijące serca musiały się zbliżyć do siebie, jak gdyby razem silniejsze były do odparcia tej smutnej myśli rozstania.

— Nas wszystko dzieli, mówiła smutna Inez — bo już zimna rozwaga, ten wróg szczęścia przyszedł, żeby męczyć szczęśliwych — ach ten tron, ten twój tron Portugalski!

— Ja nim wzgardzę, jeśli ty na nim nie będziesz.

— Nas wszystko dzieli, mówiła smutna, patrz, nawet te listki pomarańcz, ta wonna gałąź jej kwiatów zwiesiła się nad głowami naszymi, czoła nam zasłania — czująca dusza wszystko pojmie. Zła to wróżba dla nas — ty nie wierzysz luby, że te kwiaty żyją, czują i wiedzą o losie naszym — to są nasi przyjaciele — one kiedyś, kiedy pomrzemy razem, będą płakać na naszym grobie — prawda Don Pedro, cień ich w skwarne lato będzie ochładzać głowy duchów naszych — bo serca — o! serca niechaj zawsze wrzące będą!” — i znowu marzącą głowę oparła na piersi Don Pedra, a wokół było cicho i tęskno, bo anioł

marzenia przeleciał tamtędy, i wszystko co żyło utonęło w marzeniu.

Czy Alfons radził synowi, ażeby opuścił Inez, nie wiadomo; zdaje się jednak, że prędzej ukrywał przed nim to nawet, że wiedział co o jego związkach. Domyślił się, że każde słowo nieukontentowania wzbudzi tylko podejrzliwość w sercu zakochaném — ukrywał więc wszystko, lecz skrycie działał. Dziwna rzecz, że ludzie wszystko naciągają do okoliczności — cnota nawet nie ma wartości bezwzględnej, i może dziś być cnotą, a jutro zbrodnią — tym to sposobem świat się splamił tyłą haniebnemi czyny... Podobnie zapewno i Alfons myślał.—Alfons kazał zamordować kobietę dla szczęścia Portugalji — i mógł to zrobić z tak spokojném sumieniem, jak wielki Inkwizytor modlący się Chrystusowi jękami stu ofiar konających w płomieniach.

Pięknego wrześnieowego wieczora rokoszne gaje laurów i pomarańcz jak zawsze rozlewały blask szmaragdowy wokoło, jak dawniej ocieniały czoło Inez — ale nie tej co dawniej — Inez smutna — Inez straciła ten

wesoły wdzięk twarzy — bo miłość jak każda namiętność ma swe cierpienia, co prędzej, stokroć prędzej niż całe nudne życie zimnego człowieka spędza wesołość z czoła i twarz powleka jakąś tęsknotą, może czuciem tej prawdy, że wszystko, nawet ta miłość kochana umrzeć musi.

Jednak czy nadzieją, czy wspomnieniem przeszłości pędzona, przyszła do tego strumienia, co nieraz był dla niej posłem szczęścia, w którego nurtach płynęła gałąź zielona, a na nim bukiet kwiatów wonnych, a w środku list piękniejszy od nich. Nie było dzisiaj posła — nie było — Inez westchnęła, rzuciła myśl na przeszłość, nudne, nudne życie! pomyśleć musiała, gdyśmy upojeni szczęściem, gdy kochamy, tak prędko lecisz — a gdy samotność dręczy tak jesteś długie, obrzydłe! — pomyślała razem jak przepędzić wieczor — wieczor nad brzegami Mondengo, i cóż nad to może być rokoszniejszego! tam powietrze jest harmonją, co przenika serce zwolna i usypia wszystko, co tylko cierpieniem byś nazwał — tam kwiaty rozmawiają,

tam gaje jak marzenia z nad kolebki, co sen  
dziecka tak robią cichym, malują się oczom  
urocze, tęskne, jedne na ziemi, rzekłbyś to  
czary ziemskie; inne gdzieś w nieba błękicie  
tonące, rzekłbyś: to jedno technienie niebios,  
te uroki stworzyło — ztamtąd i zwierze złośli-  
we ucieka, bo się może trwoży, żeby ta mięk-  
ka, rokoszna natura i jego serca nie zmięk-  
czyła — a tylko człowiek zimny w łonie wła-  
snej duszy czerpie myśli i czucia dla siebie —  
natura próżno przemawia — nie poruszy jego  
nawet wieczor nad brzegami Mondengo. I  
wtedy był wieczor piękny — księżyc wypływał  
na środek nieba i spozierał na gaje — stru-  
mieniem z czuciem, z tęsknotą, bo je kochał  
już oddawna, spójrzył i na Inez, bo i ją ko-  
chał i jej lica, jak bukiety magnolji lubił po-  
wlekać drżącym światłem — drżącym, bo to  
było światło miłości. — I cóż wyczytał z jej  
oczu? nie wiem — zasmucić się jednak mu-  
siał, bo blade czoło schował za chmury —  
czy się przeląkł widząc kilka cieniów przemy-  
kających po ziemi?

Autor drammatu Inez de Castro każe trzem

siepaczom zamordować Inez w pokoju — każe jej rozwdzić długie treny, wystawia dwoje dzieci, których głosy niewinne miały porużyć katów i po tém przygotowaniu, które tyle tylko ma wpływu, że trwogą przenika słabszego słuchacza, każe wreszcie nieszczęsnej upadać pod sztyletami. — Inaczej jednak było, Inez zamordowano nad tymże samym strumieniem, co nieraz był dla niej zwiastunem szczęścia — raz sztyletu był mocny, chwilowy — Inez marząc o kochanku wśród kwiatów po krótkiej skonała męczarni — któż wie czy męczarni nawet? — usnęła pośród tychże magnolij i laurów, i też same cyprysy stały nad jej zimnem ciałem, co niegdyś wróżyły smutek w chwilach uniesienia i szczęścia. — Cienie, co się zjawily, znikły, a czerwona droga krwi poszła za niemi — i xiężyc wyszedł z za chmur biały i zdał się mówić zbrodniarzom: — myślicie, że nikt nie widział? ale jam okno niebieskie — przeze mnie wyjrzał Bóg, i widział wszystko.

Wkrótce wieść się rozniosła o śmierci Inez — Don Pedro usłyszał także w chwili,

kiedy konała, zasypiał znużony polowaniem, marząc o jutrze piękniejszym, o jutrze obok serca Inez. Rospacz jego była szaloną—nie mógł sobie przebaczyć, że był ślepym na wszystkie kroki nieprzyjaciół. W pierwszych chwilach żalu chciał krwi ojca za krew kochanki — chciał przynajmniej widzieć ją — uścisnąć trup, który i ziemią przysypany droższym był dla niego, jak świat cały, jak korona Alfonsa mordercy — ale napróżno — Inez już była pogrzebioną.— Kto wie jaką władzę miało wówczas duchowieństwo; jak cała władza Króla była tylko nędznym odbłyśkiem kościelnej; kto wie jak wówczas łatwo było zyskać nazwisko odszczepieńca, i być według wszelkich prawideł S. Inkwizycji spalonym, dziwić się zapewno będzie i uwielbiać to przywiązanie Don Pedra, które pokazał wydobywając kochankę z grobu.— Na co? czyż w zgasłym oku, w zwiędłej kibici, w tych bladych kształtach ciała, można jeszcze znaleźć pożywienie dla duszy ognistej, serca kochającego?—Miłość ma swoje fantazje genialne — Don Pedro pamiętał, że biedna Inez

umarła dla niego — piękny kwiat życia jój zwiędnął, jak tylko powiał niszczący wicher, od złotego tronu Portugalji; wiedział i to, że tylko zawiść złych ludzi, że tylko złość ojca, wydarły jój ten tron, którego tak była godną.— „Ona musi być na tronie!”— i wydobyl trup kochanki, odział go w szaty królewskie i posadził na tronie, a sam płakał gorzko oparłszy głowę na zimnych kolanach kochanki. Cóż Inkwizycja mówiła?— modlono się za biednego szaleńca — bo każdy będzie nazwany szaleńcem, jeśli czucia ma za nadto, a zimnego rozsądku za mało — modlono się— przysyłano mnichów żeby go odciągnęli od trupa kochanego, mówili jemu, że trzeba sądy Boże szanować — a on im za całą odpowiedź plwał w oczy i płakał dalej — aż oschło źródło łez i została tylko głucha, cicha rozpacz. „Korony! korony!” wołał, i ukoronował białe czoło kochanki i ścisnął trup — i znowu szalony w długim okropnym pograżał się dumaniu.— Radzić mu wówczas, było to żądać śmierci—przemoc byłaby daremną, bo rozpacz Don Pedra była silniejszą od całej Portugalji.



Jaka różnica zakończenia między tą sceną historyczną, gdzie wszystko nosi piętno ognia południowego, gdzie tyle czucia, tyle fantazji, tyle szalu poetyckiego — a sceną znajdującą się w dramacie nam znanym; gdzie Don Pedro przychodzi do katafalku, jak tysiące ludzi robią codzień. Cóż głębiej przenikającego jak ten widok umarłej dziewiczej Inez, tego trupa, w którym jeszcze kochać się można więcej niż w nie jednej krwistej piękności; kochać się przynajmniej tyle, ile w pięknej Helenie Kanowy, i obraz tego królewskiego syna, który zapomniał o koronie, kochając za życia i po śmierci naprzekor losowi, naprzekor mordercom, ziemią przysypane czoło nią zdobi. — Malarz Forbin usiłował ostatnią scenę życia Inez (jeśli może należeć jej koronacja po śmierci do życia) przedstawić pędzlem, który jednak za słabo odpowiedział żądaniu. Saint-Evre jakkolwiek według zdania Pani Junot lepiej wypełnił to dzieło, zdaje się jednak, że chybił celu wyobrażając skielec odziany purpurą i ukoronowany, którego kościste ręce jeszcze mają szczątki rękawiczek —

myśl bez wątpienia piękna — lecz wolałbym to mieć za obraz allegoryczny, którybym nazwał nicością — bo i cóż więcej znaczyć może ta pycha zewnętrzna, pokrywająca okropny szkielet? Żeby pędzel godnie odpowiedział celowi, powinienby tylko oddać całą piękność zmarłej dziewicy — cały urok wdzięków — tylko bez nadziei, tylko z jakimś piętnem nicości, co krwawiło pewno Don Pedra serce, co powinno przynajmniej zbliżone obudzać czucie w sercu widza czulego. Kochanek martwą kochankę posadził na tronie, uwieńczył koroną, i rozpaczą u nóg jej — i czyż dla pędzla artysty genialnego nie wystarczy tyle pomysłu!

Camoens, którego nieszczęścia wyrównywały geniuszowi, który następnie do siły twórczej musiał łączyć głębokie czucie, pojął całą piękność przedmiotu i oddał go tak wzniosłe, jak tylko mogła natchnąć miłość najczulsza, i ta piękna natura, to ustronie *das Lagrimas*, skąd Coimbra w całej przedstawia się piękności, gdzie, jak mówi Xiężna d'Abrantes, poezja objawia się w każdym gaju, zachwy-

cającą ustronń tworzącym. Miłość godną była poety, poeta też godnie ją opiewał:

„Dusza twoja cichą była, piękna Inez!  
 „lata twoje wydawały ci piękne kwiaty i słod-  
 „kie owoce, używałaś ich uszpiona tém upo-  
 „jeniem duszy, tą wesołością ślepą i szczęśli-  
 „wą, którą los niestety za nadto niszczy  
 „prędko. W pięknych gajach Mondengo,  
 „ziola rosilaś łzami pięknych oczów, wyma-  
 „wiając to imie, co leżało na twém sercu,  
 „a góry powtarzały. Tam to wspomnienie  
 „kochanka stawało przed tobą, a choć opu-  
 „szczał twą ustronń, zostawał na noc w twój  
 „pamięci, w snach, co ci jeszcze powtarzały  
 „przeszłość i dzień, i to coś marzyła, a  
 „wszystko, na coś spojrzala, mówiło ci tylko  
 „o szczęściu.”

Do dziś dnia linda Inez (piękna) żyje w pamięci Portugalii, a *Quinta das Lagrimas* i *fonte das Lagrimas* będzie zawsze pierwszym przedmiotem, który wskażą mieszkańce gajów nad Mondengo ciekawemu przychodniowi — i jeżeli przychodzić prócz głowy ma i serce, z większą zapewne przyjemnością będzie spo-

zierał na te laury i cyprysy, na te gaje pomarańcz, co widziały szczęście Inez, niżeli na gruzy, gdzie pycha Caliguli spoczywa w trumnie ruin olbrzymich — a jeżeli zechce słuchać, z czarnemi oczami dziewczica Portugalska opowie mu o nieszczęściu Inez, bo miłość nie ośmieli się wysławić.



## II.

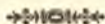
### **G o r ą c z k a .**





## II.

## G o r ą c z k a .



To die — to sleep — no more !.,  
 (*Hamlet*) SHAKESPEARE.

**B**YŁO to roku 18..... deszcz z śniegiem  
 zmięszany bił w okna szpitalu — a nie  
 jeden wtedy konał — a ten wiatru jęk zdawał  
 się być głosem anioła śmierci. — Smutno, o-  
 kropnie jest patrzeć, gdy dusza z ciała się

wyrywa — gdyby przynajmniej wówczas niebo wypogodzone, błękitem swoim uderzyło w oczy mające się wkrótce zamknąć, gdyby promień słońca padał na twarz pociągającą się ki-rem śmierci,— zdawałoby się przynajmniej, że dusza wyrwana z ciała, po lubym promieniu spłynie tam — tam daleko, z kąd może przyszła, a wśród burzy, wśród wichrów i śniegów, straszno, okropnie dla duszy wybierać się w drogę wieczności!

Było to roku 18..... dzień to był jego ostatni, śnieg z deszczem bił w okna szpitalu, przechodzący tulili się w płaszcze, każdy uciekał, chyba żebrak obojętny na słoty i wichry, szedł jak zwykle powolnie, jakby liczył każdy krok, zbliżający go do mogiły. I w szpitalu było cicho. W osobnym pokoju leżał chory; czasami jęk jego odbijał się ponuro o ściany, o okna, spotykał się z jękiem wichru, i jak bracia w uściskach zlewały się w jedno przeciągłe okropne jęczenie.

Łoże było ubogie — tak ubogie, że gdybyś ty raz obaczył takie łoże, bogaczu, wśród nocy spokojnych, nierazby cię budził sen o-



kropnej nędzy, i trzęsłoby ci się serce na widok mary tego łoża.

O! jak szkoda młodo umierać! — cały świat, cała przyszłość — ten świat i ta przeszłość tak zwodnicze, tak podłe; to błoto naszego istnienia, staje przed młode oczy gasnące i obiecuje szczęście; — wyzdrowiej — podnieś się młodzieńcze, woła, a dam ci złoty kielich roskoszy moich! — ach! a dusza młoda — wierząca — rwie się z łoża i bezsilna znowu pada z rozpaczą — taki jej żal świata!

Było to przesilenie jego choroby, ta chwila, w której anioł śmierci walczy z genjuszem życia, a człowiek leży bez czucia, nie wiedząc o sobie, i marzy mu się wszystko, co było i nie było — dusza wówczas jak łódka w wirze fali, kręci się na jednym miejscu tak ciągle, tak jednostajnie, że nie zgadniesz czy się wyrwie, czy utonie — przysiągłbyś, że przypadek — los rozwiązuje tę wielką katastrofę życia ludzkiego.

Czy byłeś kiedy w gorączce? o błogi to i razem straszny stan! — wszystkie gorączki, ile ich jest, i gorączka ciała, z ustami spalo-

nemi, płonącym czołem, i iskrzącymi się oczami, ze źrenicą tak ostrą jak ostrze sztyletu, i z sercem tak szybko i silnie bijącym, jak ten śnieg z deszczem i wichrem, i gorączka serca; z takim czuciem, gdzieś w głębi piersi, jakby tam co pękać miało, i gorączka duszy, gdy może pali się myślami i wyrzuca je, a za każdą myślą lawy obrazów gonia i niszczy wszystko co na drodze: szczęście i spokoju — aż wreszcie wypali się mózg i zostanie popioł — wspomnienie! wszystkie te gorączki zostawiają wkońcu trup z człowieka, ale ich bieg ileż ma roskoszy! — Słuchaj — oto brzmi myśl jego, bo kiedy masz duszę, spójrz tylko w oczy, a pojmiesz duszę — czy to będzie dusza kochanki, łotra, przyjaciela, szaleńca konającego; każdą, każdą duszę pojmiesz, oprócz samoluba, bo w nim duszy niema — tylko mówię ci spójrz w oczy.

Zegar bił czwartą wieczorem — słońce przedzierało się z za chmur podartych, postrzępionych jak brudna szata — bo i któż wie czy to nie płaszczyzna dla duchów niebie-

skich od zimna i sloty tego świata? Wiatr wył ciągle — chory był strasznie blady — piersi jego wznosiły się i opadały ciągle prędko, jakby walczyły całą mocą z aniołem śmierci, co usiadł na nich aby go zadusić. Oczy jego wlepiły się w szyby, a każda szyba ciemna, brudna, rosła wzdłuż, wszecz, grała, jęczała, przed oczyma jego wyobraźni, a ilekroć chmury rozdzierały się i przepuszczały blask czerwonawy zachodzącego słońca, здавало mu się, że to gdzieś na górach jego ukochanych, na górach młodym latom pamiętnych, błędne ognie wędrowców przezierały przez lasy i krzaki. Każde koło chmury здавало mu się przepaścią, nad niemi skały popiętrzone — a dalej płaszczyzna — a potem mgła, oko widzieć nie może — ćmi się — przezierają tylko gdzieś drzewa — patrz; sosny, brzozy — „znajome, znajome lasy” — krzyknął, a wiatr mocniej zawył, i lasy, skały i przepaście przeszły — a znowu idą nowe góry, za niemi płaszczyzna siwa, długa, niezmiernie — i zdało mu się, że to jezioro, — to jezioro kochane, po którym niegdys

pływał na łódce słabiej, chybkiej, i przegrywał na flecie, a tęskne brzegi i skały słuchały pieśni; i było cicho, jakby góry dolinom, skały przepaściom, lasy łąkom, kazały milczeć i zachwycać się pieśnią — tylko brzoza nadbrzeżna, lekko ruszana wiatrem igrając miękkimi gałęzmi, oplatała ramiony swemi kochankę, wierzbę złotą, i razem schylały czoła ku wodzie, dziękując za pieśń czułą i tęskną, jak ich miłość.— „Ja wam zagram moje góry, moje doliny, dawną notą — fleta mego, fleta mego!” — i znowu patrzył cicho bez ruchu, a wiatr świstał i dzwonił po szymbach — jemu się zdało, że to pieśń dawna, i uśmiechnął się boleśnie — radością gorączkową.— „Płynę, płynę! tam blisko tej góry są topole, a między niemi chrósty ożynne, a za chróstami kamień mchem zarosły, a dalej równina kwiatów rumianych i błękitnych,” — i w tejże chwili wiatr rozgonił chmury; i jasne, rumieńcem zachodu zapłonione niebo zaćmiło się na chwilę i wicher ustał, a szmer przechodzących i gwar miasta rozweselił dnia ostatki. Coraz ciemniej — wieczor pogodny

witał niebo bez chmurki — ostatki rumieńca igrajac jeszcze tonęły w błękiecie — jak na licach dziewicy wstydlivy rumieniec, wywołany pożegnaniem ust drogich — zwolna gasnący — aż pozostanie bladość żalu, i łza w oczach. I oto łyz niebios, gwiazdy już zabyły, xiężyc jak blada, tęskna twarz kochanki, wypłynął i dumal — i plakał gwiazdami, a błękit niebios coraz ciemniał jak jej wspomnienia.

Przed chorym zniknęły mary obrazów, — ale gdy xiężyc zajrzał w szyby samotnej izby i rzucił pasmo światła, promień ten jakby ręka jego anioła, uderzył mu w oczy — w mózg, i aż do serca przeniknął — i wszystko co kiedykolwiek myślał i widział, przy xiężycu stanęło w jednym obrazie marzenia. On się zerwał, bo tyle razem myśli uderzyło mu w czoło i kręciło się w pamięci, — że cała jego istota, pływała po ich fali — i zdało mu się, że nie miał ciała, że znikł w jakiems morzu, którego fale nad nim i pod nim ruszały się — wznosiły i drgały. Natęza słuch, dźwięk fali coraz szybszy, i szum coraz mocniejszy. —

„Mnie niéma, mnie niéma, wołał, tylko fala, tylko szum,”— i zerwał się z łoża.

— Co cię boli? rzekł zimno stróż w półdrzemiący — czego wstajesz — Bóg z tobą, gdzie ta fala? — Przychylił mu do ust trochę napoju — jakby nowe myśli wstąpiły doń — uspokoił się, głowa opadła na poduszki, a oczy wlepiły się znowu w twarz xiężycy — „to ona, to ona! krzyknął, — twarz jęj blada — ona umarła!” — Stróż przystąpił do łoża, wziął go za rękę, krzyż na czole zrobił, a on ciągle krzychał: „to ona! ona umarła!” — „Bóg z tobą? gdzie? co widzisz?” — „Ona! patrzaj, twarz jęj blada — jasna — okrągła, wokoło promienie światła — a tam — patrzaj — oto jęj ręce, jakie białe, sębrne — leży w sukience białej — a wokoło jak ciemno — cały kościół kirem wybity — ach! jak czarno — straszno — ona umarła — patrz wokoło lampy się palą, co ich tam jest — miliony! — ona umarła! — i jakby wysilony ostatniemi rękami konwulsyjnemi, aby przelecić tam, gdzie widział obraz drogi, dwakroć pełnięj westchnął, a anioł śmierci, siedzący mu na

piersiach, uciskał je silniej i do westchnienia wspomnienia, przymięszał westchnienie boleści, i w tejże samej chwili pełna twarz xiężycy przylgnęła do chmur jasnych — a jemu się zdawało, że to twarz dziewicy, że te wstęgi chmur srebrzystych — to jej szaty białe, a wszystkie razem gwiazdy, na tle ciemnego nieba, jakby lampy na katafalku, i gorączkowa myśl jego przyczepiła się do raz chwyconego wyobrażenia. I wnet zdało mu się, że jej ręka poruszyła się i wznosiła lekko ku twarzy — a potem kilka mar czarnych, zakapturzonych, z rozrzuconemi włosami przysuwało się zwolna do katafalka dziewicy, jedna z nich przyszła i pochyliła się ku twarzy jej i znowu zwolna odstępowała — i nowe mary szły i zakrywały jej lice, potem znikaly — i w głębi stawały tłumnie — a lampy coraz w świątyni gasły, robiło się ciemniej, i tylko jeszcze biała sukienka dziewicy jaśniała i grała mu w oczach. Wtém naszły nowe mary, długie, strzępiaste, i na barkach niosły wieko trumny czarniejsze jeszcze od nich, i szli zwolna i zakrywali zlekka dziewicę, naprzód jej twarz,

potém sukienkę. Już ledwo widać ślad białych stóp, i wręście zakryli — a mary zaczęły rosnać, rosnać, i z trumną na barkach szły dalej, a przed niemi i za niemi éma wi-  
dziadeł kręciła się, toczyła, szła za trumną i ginęła w tłumie — i zdało mu się nagle, jakby słyszał dzwon, gdzieś zdaleka zwolna bijący, jakby kołysany słabą ręką, bił tylko w jedną stronę ponuro, powolnie — i natężył źrenice, źrenice jak noże, i zdało mu się, że gdzieś daleko widział kaplicę i dzwonnice, a dzwony wahały się w niej, a pod dzwonami stała mara jakaś, jakby dziad, sługa smętar-  
tarny, i chciał go lepiej obejrzyć, a dziad się zmienił w olbrzyna i z wykrzywioną twarzą rósł coraz a coraz, i zakrył wręście całą kaplicę. Dzwon bił ciągle, jednostajnie, a jemu się zdało, że idzie za głosem jego, że pędzi za tłumem pogrzebowym — i znowu mary stawały, biegły i znikały — już był coraz bliżej — słyszy śpiewy Kapłanów, kilka głosów ponurych w jedną złączonych harmonją, nóciło *miserere* — a dzwon ciągle brzmiał i nóta żałoby i ciche jęki i ruchy tłumy i obraz



trumny, i nawet chrzest jój na barkach tych mar czarnych, wszystko razem popędziło mu krew do mózgu, i szum i dźwięk, i cienie i światło, zmieszało się w jego wyobraźni — zerwał się z łoża krzyząc: — „dzwonią! śpiewają!” — „Gdzie? co ci jest? Pan Bóg z tobą” — rzekł stróż, biorąc go za rękę — „*miserere*” — powtarzał z obłąkaniem młodzieniec — „Jakie *miserere* marzy ci się, przeżegnaj się” — i położył mu znak krzyża na piersiach. — „Patrz, patrz, wołał chory, tam niosą trumnę — widzisz?” — „Ty od rzeczy gadasz, to chmury,” — „a tam dzwonią!” — „Gdzie dzwonią?” — „Tam — w głowie, w mózgu, wołał nieprzytomnie — śpiewają! słyszysz, śpiewają, *miserere*.” — „To nie *miserere*, to mni chy śpiewają modlitwę wieczorną — dziś jest ostatni dzień roku.” — „Dla czegoż oni śpiewają?” — „Słyszysz — bo dziś ostatni dzień roku, modlą się, ażeby Bóg dał rok przyszły lepszy — bo przez ten wiele, wiele ludzie wycierpieli, nieurodzaje, głód, wojna — kara Boża, młodzieńcze, wisiała nad nami roku tego!” — a on bezprzytomny wołał ciągle: —

„śpiewają *miserere*. — Patrzaj!” — i zerwał się z łoża, i biegł do okna — „widzisz w tych ciemnościach — tam — jaka przepaść — a z przepaści wychodzi ogień — widzisz — ach! ziemia pęka, przewraca się — sąd, sąd ostateczny!” — i zawrót głowy pokręcił mu myśli wszystkie, i co tylko było obracało się, chwiała — i zdało mu się, że wszystko pada, niknie, i upadł na ziemię. — Stróż znowu się zerwał, podniósł go i położył na łóżko, orzeźwił kilką kroplami usta spalone — a dusza zmęczona widziadłami uspokoiła się na chwilę — nakrył mu oczy. O! kiedy mózg chory zakrywaj oczy, bo przez nie jak przez wrota fortecy, wkroczy nieprzyjaciel, — obraz tego świata; a jeżeli wtedy wola nie ma siły pohamować je, myśli wywinięte z wojska obrazów, zniszczą twą fortecę, twój mózg.

Nastąpił sen — czy znasz ty sen w gorączce? — sen powiesz dobrym jest znakiem! prawda, dobrym, jeżeli będzie tak cichym jak sen dziecka — ale któż tak kiedy zasypia? — odkąd poznałeś, zbadałeś — i chciałeś kochać i oszukany zostałeś twojami ideałami,

pierwszą kobietą serca twego — kochanką, —  
 odkład namiętności uderzyły w stróny twego  
 mózgu i raz się rozległa w duszy harmonja  
 przyjaźni, żądz, kochania, i straszniejsza —  
 dumy, nienawiści; napróżno będziesz się kładł  
 w łoże twoje, z nadzieją snu tak spokojnego  
 jak u dziecka — dusza jak arfa Eolska odkład  
 pierwszy dźwięk wydała, będzie dźwięczyć do  
 śmierci, a ty chciałbyś w gorączce snu spo-  
 kojnego! — Patrz na twarz jego bladą, mu-  
 skuły jęj ruszają się mimowolnie, drżą, to  
 skutek męczarni mózgu — jak szatan kiedy  
 owdładnie smętarzem od lat stu zapomnianym,  
 pójdź nań w godzinę północy — nie ujrzysz  
 go, ale mary z mogił będą ci stawać przed  
 oczy i piekielny dramat odegrają przed tobą  
 widziadła tańcujące, chodzące krzyże — i cóż  
 ci więcej powiem? — smętarz będzie wówczas  
 jak sala balowa, jak ożywiona rozmowa mię-  
 dzy kobietami, jak nabożeństwo łotrów — albo  
 jak te konwulsyjne ruchy twarzy w gorączce,  
 będzie tam ruch żywy, wesoly na pozór, a  
 w istocie chorobliwy — z takich ruchów po-  
 znasz śmierć bliską. — Spójrz na czoło jego;

w tych zmarszczkach ujrzysz wewnętrzny smutek, pracę duszy — smuci się, bo przewiduje chwilę rozstania z ciałem, — pracuje żeby ją odsunąć. Lecz po co te oderwane obrazy; spójrz na niego całego, a pojmiesz, że to sen okropny, w którym zmysły czuwają, ale dusza nie myśli zatrudniać się ich obrazami, ona gdzieś w głębi jestestwa wpółmartwego, może w czwartej mózgu komórce skryła się i z aniołem życia naradza się co począć, czy walczyć dalej, czy oddać wreszcie aniołowi śmierci ciało skolatane, tę twierdzę, którą dotychczas bronił — jest to chwila okropna, stanowcza — któż wie — może duch nadto słaby — anioł życia nie zechce tracić czasu na walkę nierówną, i za chwilę oddadzą popsutą twierdzę na łup aniołowi śmierci — a sami uleczą — gdzie? zgadnij — dosyć że uleczą. — Często się zdarza, że zbyt bojaźliwy lub zbyt roztropny wódz, kiedy oddaje twierdzę wrogowi, mówi wprzód swoim: — „poddąć się musimy,” — a wtedy wszystko co żyje, widzi chwilę upadku i woła: — „zginęliśmy!” — I w gorączce to się dzieje, gdy anioł życia wy-

rzecze do schorzałego ciała: — „oddać cię muszę na łup nicości, człowiek wówczas woła:—„ja jestem pewien, że umrę!”

O! straszna to chwila!—i on się ocknął, a myśl jego z marzeń gorączkowych wyrwana, wolna, ale beczsilna, stanęła nago i ujrzała, może przeczuła tylko, chwilę ostateczną! dawna siła, dawne mory, widziadła pierzebły—myśli już jego toczyły się cicho, porządnie, i oko widziało wszystko tak, jak było tylko, wszystko chwiejące się, wszystko niby rozplywało się.—Wokoło promienie jakieś, i żółto, żółto w oczach!—Spójrzył na księżyc,—srebrna tarcza jego jakby głowa anioła, dumania i marzeń, otoczona brylantami gwiazd, tonęła w przepaść cienia. Wlepił tam drżące oczy, a dusza marząca roiła sobie, że widzi miljonny duchów, pływających w niebiosach, że wśród uocy modlitwy ich wznoszą się ku Bogu, i wszystkie razem spływają się w jedną jaśniejącą ofiarę. Ten księżyc zdał mu się modlitwą duchów, bo kiedy świat przestanie i przeklinać i błagać Stwórcę — o, musi się ktoś modlić; ten księżyc jasny — promienisty, ten

xiężyc czystszy nad myśl dziecięcia, rączęta ku niebu wznoszącego, czémże jest, jeżeli nie najuroczystszą modlitwą!—spójrzyj raz tylko na tarczę jego, świecącą w pogodnej nocy—spójrzyj wzrokiem czucia, a przysięgniesz, że to Hymn do Boga, przysięgniesz, bo i sam ugniesz kolano. Oko jego tonęło w niebie— a niebo, jakby litościwsze nad świat ten, wypogodziło, odkrywało swe jasne, gwiazdziste łono, niekiedy tylko przemykały się chmurki błyszczące i otaczały, to znów się rozsuwały koło xiężycy, jakby aniołowie podnoszący modlitwę duchów wyżej i wyżej ku Bogu. Dusza chorego była w niebie, i wszystkie myśli i czucia niebiańskie, co kiedykolwiek sercem jego wstrząsnęły, od czucia dziecka, kiedy klęcząc raz pierwszy nad kwiatkiem, połykał całym swym jestestwem wonie jego, a potem wieńczył nim skroń Bogarodzicy, co mu z nad łóżka sny anielskie sprowadzała; aż do czucia młodzieńca, zanurzającego cały potok życia swego w błękitnej przepaści dwójga oczów kochanych; aż do czucia męża, pragnącego świat cały, świat nieszczęść i nieszczęśliwych przy-

tulić do piersi ojcowskich, wszystkie razem otoczyły go, a dusza owiana takim tchnieniem, taka lekka, czyż nie chciałaby jak xiężyc pływać sobie po przestworzu z duchami i aniołami?

Serce coraz było słabiej — i ciało coraz się mniej ruszało. Był to rodzaj odrętwienia, rodzaj prawdziwego marzenia przedśennego. Wszedł jakiś człowiek — dotknął pulsu — raz, dwa, trzy..... sto trzydzieści! — czoło płonące — tchnienia jakby fala po fali spadająca z Niagary. — Biedne ciało! jak ty pragniesz wyrwać się z téj przepaści! — popatrzał — „a może co zmienić?” stróż zapytał — „nie potrzeba,” rzekł zimno — zgadłbyś kto. — Stróż przystąpił do łoża — „Młodzieńcze! czy nie masz ojca, matki, czemu nikt cię nie odwiedzi?” — „Nikogo!” — „ani przyjaciela?” — „Nikogo!” — „więc nikt ciebie i ty nikogo nie kochałeś!” — Westchnął ciężko — i dwie łzy wielkie, ostatnie łzy ziemskie spłynęły z oczów, i jakby ołowiane stanęły na białych licach. — „Pożegnaj ode mnie starcze!” — kogo?” — „ach prawda niema nikogo; o! ich

trzeba przywitać, wkrótce, zaraz!” — Starzec przyłożył rękę do czoła chorego — okropnie pałało — a przecież życia prawie nie ma w twarzy — oczy tylko jeszcze świecą — ale już źrenice nie tak jak dwa ostrza sztyletów — teraz pełne, wydrążone, wielkie — zdawały się chwytać i garnąć w siebie otaczające obrazy — ażeby wystarczyło ich na wieczność całą.

Czy widziałeś wzrok — nie wiem jak go nazwę — wzrok z porcelany, szkła matowego, jakby pod krążek jego podłożył kto błędną iskierkę fosforu — patrząc na niego zdaje się wydrążony — próżny — świeci, ale bez życia — o! jeśli ujrzysz kiedy wzrok taki, wtenczas zawołaj jak Chrystus. — „, spełniło się!” — a jeżeliś lekarz, nie masz potrzeby stać przy chorym — kładnij się spać — bo i twój chory zaśnie!

Smutno jest umierać w nocy! — bo gdyby przynajmniej promień słońca padał na twarz mającą się wkrótce pokryć kirem, zdawałoby się przynajmniej, że dusza wyrwana z ciała po lubym promieniu spłynie tam — tam daleko, z kąd może przyszła! Straszno umierać



w młodości! świat woła wtenczas: — „podnieś się młodzieńcze, a podam ci złoty kielich roskoszy moich!” — Świat podły! nie ma nawet litości nad umierającym — szydzi całe życie — szydzi nawet z niego w chwili skonań!

Było to roku 18..... biła północ — północ ostatnia roku; a jeżeli był wówczas choćby jeden myślący człowiek — wierzący w to, że z chwil rosną lata; czuwał pewno w tę godzinę uroczystą — miasto przecież ucichło — drzemia nie myśląc, że jak przespali ostatnią godzinę roku, tak przedrzemią ostatni moment życia. — Spało wszystko — gwiazdy tylko czuwały i xięzyc, i drżącym światłem obwijały zapadającą twarz chorego? — Nagle harmonja stu tonów zrazu cicha, wnet rosna powstaje. — „Co to jest?” — krzyknął drżącym głosem chory — a całe ciało jego konwulsyjnie drgać zaczęło. — „Bądź spokojny, rzekł stróż, to północ, ostatnia chwila roku 18.... Zakonnicy w chórze modlą się, żeby Bóg odpuścił wszystkie grzechy, które świat przez rok cały popełnił. — A harmonja rosła — wzmagala się — pobożne dźwięki plywały w ci-

chém powietrzu, bily o gwiazdy i xiężyc, a od nich odbite z drżącym ich światłem zmieszane znowu wracały — i brzmiały długo — długo — i już twarz chorego była spokojna, zimna i ciało się nie trzęsło — a jeszcze hymn i promienie xiężyca otaczały twarz jego, i w uściskach z ulatującą duszą znowu płynęły do nieba — i w tejże chwili błędny biały obłoczek pokrył twarz xiężyca — a promyk jego i hymny i dusza wyrwana z młodzieńca usiadły na obłoku — i widziałem jak ta błędna chmurka zniknęła! i hymny ustały, i jedna istota cierpiąca wolną została od cierpień — a noc spokojna i xiężyc, jakby modlitwa duchów, jakby anioł tęsknoty i marzenia płynął dalej po niebios przestrzeni. Ludzie przespali tę chwilę — ocknęli się nazajutrz..... a był to już pierwszy dzień nowego roku 18.....



### **III.**

## **Lekcja Anatomji Serca.**

111  
Enki's Anunnaki



SZPITAL,  
Przemienienia Pańskiego  
na Pradze.  
Oddział Dra B. JAKIMIKA

III.

**Lekcja Anatomji Serca.**



**G**ZŁOWIEK jest najrozumniejszym stworzeniem, ale też i najniezszczęśliwszym, wiecznie chciwy szczęścia, zawsze oszukujący się, zanurzony raz w rokoszach ciała, to znowu duszy, wiecznie musi obójga nadużyć, i

w końcu zostaje ofiarą pośmiewiska, satyrycznego świata. Oto np. jest *Albertus Magnus* genjusz, alchemik, coś więcej — hermetyk, głowa zagorzała, energiczna, jak mówią zwyczajnie szaleniec, bo to wszystko tak blizkie jest sobie, że prawie za jedno, wziąć się może. On, który miał zwierciadło odbijające wszystkie piękności świata, który stworzył metaliczną głowę, mówiącą wszystkimi językami, który skinieniem wywoływał cienie, posłuszne zaklęciu nadziemskiemu — on szaleniec! — Lecz, o! gdybym miał to zwierciadło, gdybym raz zdołał wywołać duchy z drugiego świata, i czegożby mi więcej trzeba było? Niezdołam — niezdołamy, bo wiara nasza jak kokietka, czepia się rzeczy pięknych, wygodnych, cielesnych, a nigdy okropnych, nad którymi duch z pracy omdlewa. Wiara nasza jeszcze w kolebce, już naruszona, a na świecie wyśmiana, chowa się tylko do dusz prostych, nieokrzesanych; nie wierzymy w duchy, i słusznie; jesteśmy bowiem tym sposobem wyłącznemi panami téj ziemi, nie tak jak dawniej, gdy tysiące gnomów błędziło po nam darowanym świecie, i połowa

tego pięknego dziedzictwa rządziło. A przecież ta zimna niewierząca mądrość nasza, jak jest nudna! — nie rozgrzeje ducha! — Staliśmy się machinami parowymi, dusza gra w nas rolę pary, boimy się powiększyć jej masę, żeby maszyny nie rozsadziła. A jak to wzniośle, jak dziko i pięknie razem, kiedy wspominam sobie czasy, kilku temu wieków nazad — Mędrzec wycieńczony mozołem duszy długim, jednostajnym, nieznający nawiętności świata, nie z tym sercem jak nasze, co jak listek za każdym powiewem w inną leci stronę, ale z kamiennym, a może nawet bez niego — skinął tylko, stopił kilka kruszców, a wnet dziwy wychodzą, cienie — widma....

I cóż miłszego nad widmo! wszak życie nasze jest tylko księgą wspomnień; w obecności nic nie mamy, przyszłość, jest to sen bez porządku, tylko nam przeszłość zostaje, z niej tylko możemy osnuć jaki taki obraz naszego życia. O! kto nie ma wspomnień, ten nie ma życia! — a przecież cóż mi po tych wspomnieniach, siedzę, myślę, zadrzemię wreszcie, a mury przeszłości błędzą tylko i gorzej serce

krwawią — A cóżby było, gdyby te mary, te rozmarzone dźwięki głowy naszej, stanęły z postawą cielesną, gdybyśmy znowu mogli zobaczyć oczami ciała, dotknąć rękę drogą, ust kochanych!... O nie! nie! trzebaby było sto razy umrzeć za każdą chwilą podobną — nie, nie chcę Wielki Albercie, ani twego zwierciadła, ani twojej różeczki, ani twój mądrości — ja sobie cicho, powolnie marzę; przeszłość nade mną lata, jak te chmurki na wiosenném niebie, tak przezroczyste, tak lekkie, że nie wiesz czy je wziąć za rzeczywistość, czyli za złudzenie oka; ja sobie marzę.... staje w oczach mych wszystko co chcę, wszystko odziane piękniej, każdy przyostry rys przeszłości niknie, a tylko cienie szczęścia dawnego stają, grają, aż uspią — a jeśli wiesz, co to usnąć śród marzeń, śmiać się nie będziesz gdy powiem, że ja jak alchemik, jak Albertus Magnus, mogę wywołać duchy przeszłości — a wywoławszy marzę — zasypiam — Już zasnąłem — Cóż to? — wszedł znajomy starzec Hebrejski. — „Czego chcesz starcze? czyś słaby? dwakroć bledszym jesteś jak zwykle.”



— „Słaby! nie młodzieńcze, póki dusza nasza pracuje, ciało słabem być nie może — bo czemuż w starości i w dzieciństwie człek najbardziej choruje? — bo i w starości i w dzieciństwie dusza nie działa; dla czego bogacze chorują? — bo niepotrzebują, a może tylko lenią się używać duszy! Wiesz młodzieńcze, że lubię pracowitych, lubię dusze młode, energiczne, co czują roskosz w pracy, choć za nią nikt szeląga nie da, a nie jeden wyszydzi; w takich to duszach jest skarb nieprzebrany, w nich tylko jest BÓG — reszta żyje bez BOGA. Lubię ciebie, a choć starzec Hebrejski, mędrzec który nawet z kształtów liter chciałby się prawdy nauczyć, nie lubi z dzieckiem chrześcijańskim mówić o rzeczach nadprzyrodzonych, przecież ja do ciebie nieraz o nich mówiłem. Ty czujesz, że mądrość potrzebniejsza dla człowieka, niżeli powietrze, i tak się oszukujesz jak każdy jej szukający. Ty tylko czujesz roskosz, kiedy zabłyśnie ci choćby iskierka prawdy, śród chmur niepewności, i razem znasz co za rozpacz cicha ale razem głęboka siada w sercu, kiedy po długim szukaniu znajdziesz nic i nic — tylko kiedy

długo zwodzony mozolną pracą twój duszy, stworzysz wreszcie w swym mózgu jedną tylko myśl, myśl okropną nicości, powątpiewania; że ci wreszcie skrzydła twój duszy opadną, i znużony zazdrości zaczynasz gminowi, co w ciebie zanurzony, weseli się przecie i szczęśliwym jest.”

Westchnąłem ciężko.

— I jakże, jeszcze nie wierzysz w nic? ani w Alchemję, ani w Magnetyzm?

— W nic, wierzę w to tylko, czego się dotknę, znużyłem już głowę marzeniami, boję się żebym nie oszalał.

— A więc oszalejesz, bo się boisz — nie wierz w to, że czego rozum nasz nicobejmie, głupstwem jest; pracuj i czekaj, i znowu pracuj a będziesz mądry, pracując zaś, wierz wiele, sądz mało.

— Wierz! z szyderstwem odrzekłem, jeszcze starcze nieoduczyłeś się wierzyć!

— Owszem, teraz wierzę mocniej! — Słuchaj mię, do czego dąży życie? — żeby wszystko poznać, nieprawdaż? — poznaj więc naprzód rzeczy, świat, a na końcu ludzi, bo to najtru-

dniój. Żeby poznać świat, dzieje jego, cudowny ruch jego, szukaj wszędzie nauki, w książkach jakich chcesz, bo nie masz takiej z której-bys czegokolwiek niemógł się nauczyć — a znać ludzi ucz się pośród ludzi.

— Aż nadto znam ich dobrze.

— Zarozumiałość! — Ale pomnij że z dwóch rodzajów ludzi, mężczyzn, poznasz łatwo, zbadasz do dna myśli; bo to jest rodzaj, którego myślami i ty sam żyjesz — ale kobiety nieznasz, niepojąłeś, niepojmiesz!

— Czemu? o, pojąłem aż nadto! — próżność, oto jest pierwiastek który w sobie noszą na miejscu duszy.

— Nie zgadłeś — chodź za mną, dowiesz się. Mędrce długo pracowali nad poznaniem téj części rodzaju ludzkiego, o której tyle napisano niedorzeczności, że gdyby pośród niej i było nawet ziarno prawdy, splamić się powinno i zaginać w tém morzu kłamstwa. Ciało jest siedliskiem duszy, jako mózg rozpiera czaszkę i kształt jój nadaje, że z wypukłości czaszki możesz sądzić o wypukłościach mozgu, tak ciało jest wypadkiem duszy. Kobięta żyje

sercem nie duszą, to jest pierwsza hipoteza, na podstawie której polega cała teoria poznania ich; — badaj więc serce a poznasz. Wierzyć musisz we wszystko co wkrótce zobaczysz. Przedstawię cię dzisiaj kilku znakomitym mężom — imiona ich świat nie wspomina, bo ani go bawią, ani mu pochlebiają, ale wiecy są; — wierz mi, wiecy są! — z ich pracy otrzymasz owoc, którego w świecie daremniebyś szukał.

I poszliśmy; a jesienny wieher wyl przed nami i za nami; otuliłem się płaszczem. — Starzec obojętnym był na zimno, długą siwą brodę zostawił na wolę zawieruchy, w jednej ręce trzymał długą laskę, a w drugiej zwój papierów. Szliśmy szybko — było ciemno, znikło z oczów miasto, a długie pasmo gór podwójnie wśród cienia, w olbrzymie w dziwne łamało się kształty, wśród nieba ciemnego jak kir katafalku, i może więcej zimnego. Starzec westchnął, spojrzawszy na góry, zastanowił się i wyteżył słuch, jakby miał nadzieję ujrzeć lub usłyszeć co wdali.

— Starcze! co to jest? czego wzdychasz? czego czekasz?

— Wzdycham zwykle jak człowiek — a czekam więc czego.

— Ha! wspominasz zapewne jakąś chwilę życia swego — o — podobno niema człowieka któremu by godzina nocna nie wspominała coś lubego, lub co strasznego. Noc, ciemność zdaje się dwa razy mocniej wskrzesza czasy przeszłe — jest to żądza duszy naszej — chcielibyśmy, smutny kir niebios, czémkolwiek oświecić, wywołujemy więc oczy kochane, co nam niegdyś najjaśniej świeciły, twarze łube, dźwięczny głos, co już przepadł, a dwoje oczów, jedna twarz, jeden akord głosu, prawda, czyż nie wystarczy do zapelnienia i zniszczenia całej tej ciemności i ciszy nocej? Starzec znów westchnął — w błyszczącém choć w zmarszczkach na pół skrytém oku łza błysnęła — i lica jego ogorzałe, blade, jeszcze mocniej pobladły. — W tejże chwili, huk nagły, jakby w dali urywającej się skały, dał się słyszeć, echa rozbiły go na sto części. Starzec znów się wstrzymał i wskazał palcem. Widziałem wpośród gór tłumy iskier, wylatających razem, i krwawym blaskiem oświecających bladą twarz

starca; a noc zdała się jeszcze czarniejsza.—  
Idźmy prędkiej—rzekł z mocą starzec, i w chwil  
kilka, byliśmy w środku gór nad przepaścią.

—Zejdźmy tędy!—i zaczęliśmy schodzić  
między skałami i urwiskami chwytając się za  
pnie karłowatych drzewek wyrastających z roz-  
padlin skał.

—Straszliwa droga! mówiłem do swego  
przewodnika chcąc przerwać długą i przykrą  
ciszę.

—Jeżeli żyjąc, dobijesz się wieku, tak  
jak ja, późnego, nie będzie ci straszną ta dro-  
ga. Skały, urwiska! i cóż życie ludzkie?—ska-  
ły, urwiska. Ledwo gdzie niegdzie znajdziesz,  
zielone, karłowate drzewko, za które chwycisz  
ręką bojąc się upadku,—i smutno i ciemno!  
kwiatu—nie spotkasz, lub chyba na początku  
tęj drogi, nad samą przepaścią—w młodości!  
Byliśmy już w samym dole—starzec drzwi mi  
wskazał—weszliśmy—długa sala, w sali czar-  
ne stoły—poznałem! znajoma sala naszych  
prac smutnych—prac nad trupami, kiedy mło-  
de i czujące serca musiały gwałt sobie zada-  
wać ucząc się tak smutnej i martwej nauki jak

Anatomja — kiedy całą poczętą młodą duszę trzeba było zostawić na ostrzu noża co się zanurzał w trupich członkach śledząc powolny bieg arterji i nerwów—ta sama sala, też same czarne stoły, też lampa wisząca z sufitu, też same ponure, sklepienie okna zostawujące dla młodego spójżenia ledwo błękitną cząstkę tego ogromnego błękitnego nieba, nieba nadziei i marzeń młodocianych. O wieleż razy, pomyślałem, oko moje śledzące tylko przez dzień cały porcelanowe spójżenia trupów nie biegnące już za urokami tego świata—tu stworzyło dla siebie świat z odmiennymi uciechami i nadziejami! wieleż razy w tej trumnie tworzyłem systemat nieśmiertelności, i jakże duch mój był wówczas potężny kiedy z martwych nawet szczątków człowieka, rozwalin, mógł budować gmach jego życia, jego przyszłości bez końca! Taż sama sala! tylko nie było tych samych współtowarzyszy—smutno—nie rozlegały się jak niegdyś nad umarłymi wesołe głosy głów młodych zdające się szydzić ze śmierci, zdające się być wesołym hymnem wiary w nieśmiertelność, powiewającą nawet

i nad trumną. Wokoło stołu na środku stojącego siedziało kilku starców — w twarzach wszystkich była spokojność, zimna obojętność, cicha rezygnacja i to piętno pracy co tak różni twarz mędrca od nieznaczących rysów próżniaka — Twarze zimne! znam was — twarze anatomiczne na których odbija się cała trupia obojętność niecstwa! — Przewodnik mój przystąpił do nich — podnieśli nań oczy, w nich błyszczał ogień wiary, zapалу, ogień co się odbił w mojem sercu — Przed nimi leżały rozłożone na tablicy drewnianej serca świeżo z umarłych wyjęte — było ich kilka, porządnie ułożone zdawały się być wyłącznym przedmiotem zastanawiania się starców.

—Przyprowadzam wam młodego człowieka rzekł mój przewodnik do zgromadzonych — Wszyscy na mnie obrócili wzrok zimny i szklanny.

— Patrzcie, kończył dalej, on zna naszą zimną naukę — i on zagłębiał się śledząc nerwy, te stróny ludzkiego ducha — i on w trupim mózgu śledził duszę i znalazł tylko jak wy komórki wypełnione płynem chorowitym a



duszy ani śladu—i on zmęczony martwą prawdą chciał wierzyć w nicestwo—jednakże wówczas gdy zdał się w nic nie wierzyć zaczął się przekonywać o nieśmiertelności—dopóki patrzył na zwłoki człowieka, chciał rozpaczać nad nicością jego—lecz kiedy rozebrał do gruntu ten instrument na którym ręka Przedwiecznego po strónach nerwów gra pieśń życia—pojął życie, pojął Przedwiecznego; wierzy tak jak ja, tak jak wy wierzyście że śmierć jest tylko końcem pieśni tego który jest poetą nieśmiertelnym, który opuścił instrument zestarzały i nie zdalny skończywszy pieśń ziemską, aby powtórzyć tę samą pieśń w niebiosach—bo żaden dźwięk jego pieśni, pieśni mistrza nieśmiertelnego nie przypadnie!—Jest to więc młody człowiek który złościwością i lenistwem świata nie zatarł w sobie uczucia prawdy, który umie jak wy z zimną twarzą śledzić gałązki trupich nerwów, a razem umie jak wy ze zgnilizny człowieka wyprowadzić dowody jego nieśmiertelności. Lecz jeszcze świat go trzyma w swojej władzy—musi mu oddać daninę należną: kilka głupstw z przed-

kości popełnionych, kilka uczuć nie pojętych, kilka przeklęstw z niecierpliwości, kilka łez żalu, kilka ran w sercu i niewiara w jego poczciwość— Kiedy to wszystko przebędzie, zostanie jak wy mądrym bo jest lekarzem a razem czuje— ma dwa potężne miecze które mi zdobędzie mądrość! Kocham go! lubię jego żądzę wiedzenia, bo człek prawdziwy na to stworzony ażeby zbadał drzewo wiadomości; bo jeśli go tylko dotknie— biada mu!— on czuje, on kochać umie— przywiódłem go więc tutaj niech pozna budowę i życie serca, bo bez tego zbyt będzie nieszczęśliwym.

Przewodnik mój skończył i usiadł między niemi, a starce patrzyli na mnie przez chwilę wzrokiem mędrca pragnącego przeniknąć wszystkie zalety i nadzieje młodzieńca nie pragnąc dojrzyć wad jego— a w chwilę potem wzięli się do pracy.

— Oto są serca kobiące, rzekł najstarszy z nich jednotonnie, powolnie, serca mniejsze od męzkich i tém się tylko co do kształtu zewnętrzznego różniące, złożone, jak tamte, z czterech próżni, mające jak tamte powinność w or-

ganizmie nadawania popędu i stanowienia głównego punktu obiegu krwi — w anatomji ducha, częsć ta ma dość podobny cel i przeznaczenie, jest to bowiem siedlisko namiętności — tędy krążą żądze i tu się rodzi nienawiść lub miłość. Jak mądra natura! — w utworach jęj wieczne podobieństwo choć zmienność bez końca.

Ha! pomyślałem więc jestem na lekcji anatomji, i dzisiaj właśnie o sercu będzie mowa — zbliżyłem się i słuchałem dalej. W tęg właśnie chwili przyszedł inny człowiek tak jak drudzy z twarzy zimny i mądry, a w rękach niósł machinę jakąś złożoną z mnóstwa słojów i deszczek metalicznych przez które wiele przechodziło drotów — przypatrzywszy się jednak lepiej poznałem że to jest cós podobnego do stosu galwaniczno-magnetycznego — przyszedł, postawił machinę na stole i zasiadł w bliskości nięj.

— Ilekroć serce jest pod wpływem mozgu, mówił dalej naczelnik posiedzenia, tyle razy władza jego zwykła upadać — mózg wówczas działa, a serca takie za życia i po śmierci ma-

ło zwykły ulegać działaniu siły nerwowej i podobnej do niej siły galwaniczno-magnetycznej—widzieliśmy to na większej części serc męzkich. Inaczej się dzieje z żeńskimi, każdy promień magnetyzmu przenika je i porusza—z tą ilekroć zastosujemy stos galwaniczno-magnetyczny do głównego splotu nerwów sercowych, w tém miejscu gdzie się zanurzają w fibry mięsne, rozpromienienie nerwowe (*irradiacia*) mające główne siedlisko w sercu kobięcém rozchodzi się i tworzy nerwy idealne—popęd bowiem w tej chwili odebrany od serca tak jest silny iż mocen jest zdziałać in-nerwacją teje kobiety idealną, czyli co jedno jest powłokę cielesną posłuszną na wszelkie skinienia woli tego który działa magnetyzmem; stos bowiem magnetyczny naówczas w rękę człowieka jest tém, czém siła nerwowa, siła życia w rękę Boga—obie tworzą, obie martwe ożywiają. I zaraz zastosowano bieguny machiny do serca i trwoga mię przejęła na widok kobiety obok stojącej—Piękna i młoda jak Wenus z piany morskiej urodzona, przyszła czarować swojemi wdziękami ponurych starców.

— Kto jesteś? zapytał jeden — twoje życie?—

— Kto jestem? — pocóż mnie męczyć po śmierci? — byłam kobietą ułomną jak wszystkie; kochałam — oto są dzieje mojego życia — byłam zazdrośną — oto źródło mych męczarni — byłam niewinną niegdyś — oto jedno wspomnienie szczęścia które zabrałam z życia ziemskiego w krainę duchów. Gdy m lat 16 miała, stworzyłam piękny ideał nieba na ziemi — w tym ideale jak w czarodziejskim obrazie zawsze obraz kochanka panował — twarz jego tysiące przybierała kształtów. Stałam na wielkim świecie — pochlebiano mi — uganiano się za mną, dziś widzę dla czego, bo byłam pięknym instrumentem, którego harmonia obudzała roskosznie śpiące dusze, choć młode lecz znużone zimnym światem. Kochało mnie wielu, i ja wielu kochałam, serce pomimo to było puste — więc chciałam je zappełnić i kochałam znowu — zdawało mi się że codzien zmienny uścisk miłości był obroną od tęsknoty — dziś widzę dopiero że nikogo nie kochała — że miłość moja była tylko zazdrością chciwój sławy

kobięty, sławy z marnęj piękności— chciałam hołdów nie miłości;— od tęj okropnęj chwili nigdy serce moje nie uderzyło innęm uczuciem poruszone, tylko ponizeniem równie jak ja pięknych kobięć— nigdy nie płakała tylko na widok młodszęj i pięknięszęj dziewicy— Umarłam gdy tylko kilku zastarzałych rozpustników i jeden starzec zakochał się we mnie; nie zniosłam tęj chwili w któręj swą piękność przeżyłam!—

— To ona! pomyślałem, ona któręj powóz przelatujący po bruku stolicy, był zawsze ścigany oczami całej młodzieży — umarła z zazdrości, a przecięż uchodziła za przyjaciółkę wszystkich młodszych od siebie piękności.

— Oto drugie serce! i znów machinę zastosowano.

— Czego chcecie! głos zawołał— i stanęła młoda dziewczyna.

— Twoje życie, śmierć twoja? zapytano.

— W szesnastym roku mojego życia umarłam, po wspaniałym balu na którym zbyt wiele tańczyłam — ach urok tego balu poszedł za mną do wieczności— dotychczas zdaje mi się

że widzę światel tysiące, harmonja muzyki gra jeszcze—dotychczas zda mi się że jestem królową balu, że ręka moja jeszcze dotyka ręki kochanej—serce jeszcze spocząć nie może, jeszcze drży pierwszém drzeniem swego życia. Matka mi zawsze mówiła, że człowiek tylko modlić się powinien za grzechy—nie wiedziałam co grzech, co pokuta.—Serce zapowiadało mi tylko szczęście: pod tysiącem kształtów raz je widziałam jak ulotny taniec, znów jak ożywioną kwiatami wiosnę, jak twarz archaniola świecąca barwą młodości młodzieńca—i nieraz szczęście to objawiało się przede mną jak rokoszne lecz nie powstrzymane bicie serca, jak długie, tęskne westchnienie, choć ani serce wiedziało czego bije, ani westchnienie czego ulatuje—Matka nie chciała żebym była na balu, alem ja bał kochała więcej jak matkę, jak niebo—w nim całe me szczęście, wszystkie marzenia i nadzieje zamknęłam—byłam na nim, a w kilka dni potem położono mię w trumnę ubraną w te róże białe.

—Szczęśliwe dziecko! pomyślałem, umarło po balu! nie znało co to jest nuda na świe-

cie—Zaniosło z sobą do wieczności duszę jak pączek róży mającej się rozwinąć—której wonne tchnienie jeszcze świat nie pożarł, której barwy jeszcze nie spłowiały pod skwarem południa.

I znowu stawały mary zaklinane potężną mądrością starców.

—Patrz! patrz na tę postać poważną, rzekł mój przewodnik, o jej życiu ja tobie powiem—usta jej niech milczą, one całym życiem kłamstwa przywykły oszukiwać; oszukiwać będą i przez wieczność całą. W dzieciństwie było to tłuste, pieszczone i grymaśne dziecko, wyrosłszy stała się złą dziewczycą—Ona nigdy nie kochała sercem całym, nigdy nie oddała je z wiarą, z ufnością, bo kochała siebie tylko—obluda ogarnęła jej duszę i w pośród tej czarnej chmury tkliwość serca, jak biedna gasnąca gwiazdka nie długo świeciła.—Czas leciał, dusza jej stawała się coraz ciemniejszą—wiek do reszty wydarł czucie i zostały tylko myśli złośliwe, duma i zapal nie znały ciała które patrz—jak się wypasło.—Kobięta jeśli nie kocha musi nienawidzić, du-



sza jój jeśli nie zasiana kwiatami zostanie siedliskiem chwastów, jeśli nie czuje, umie tylko oczerniać.— Patrz na nią— ona świat sądziła sądem ognia i zniszczenia.— Nie pojawszy ognistych dusz zatruwała życie ich wyprowadzając na scenę błędy; ubrana pozorną cnotą nie przebaczyła nikomu a najbardziej drugiej kobiecie — zawsze nadęta swoją dobrą sławą szarpała innych— ludzie ją poważali bo lękali się jój języka, języka jaszczurki co gotowa zatruć każdy kwiat wonny i piękny— gdy umarła, długą kupną mową pochwalono jój cnoty za życia jój nieskazitelności— ale Bóg wie tylko jakie to serce puste i czarne.

— A ty kto jesteś?

— Nie pytaj! patrzaj na piętno hańby co na mém czole przyświéca, rzekł płaczliwie drżący cień kobiety — raz tylko jeden kochałam— było to w wiosnie młodości— potem byłam zbyt nieszczęśliwą bo nazbyt zepsutą — serca nie miałam, bom je sprzedawała po części pierwszemu który lepiej zapłacił; — z miłości zrobiłam towar kupny, piękność moja była sklepem dla kupujących, w którym na miej-

scu miłości sprzedawałam rozpustę — w miejscu nieba uczuć rzucałam szalone, młode dusze w piekło żądy i zmysłów.

— Stój nie znikaj! zawołał starzec, oto jest serce na którym można wiele, bardzo wiele się nauczyć; — ona kochała niegdyś! — Patrzcie — to źródło błogosławieństwa i szczęścia wylało jednak rzekę przekleństw i hańby — ponizona, podła jak błoto które każdy depce nogą i z pogardą omija, którego tyle jest w świecie, z którego ulice miejskie nigdy oczyścić się nie zdołają, ma jednak wielką cnotę, ma dumę oburzającą się na same wspomnienie upodlenia. Więc dusza i tu nawet wygrała nad ciałem! więc jej milczenie nie było dowodem śmierci, ale tylko chwilowej odrętwiałości! — Dla czegoś tak się spodliła dziewczyno?

— Ach, miłość! źle pojęta, miłość — odrzekła z boleścią — Szczęśliwy kto kocha, ale biada mu jeśli zapomni kochając, że stworzony jest by wiecznie walczył z sercem!

— Patrzcie! oto jest serce bez rozumu! takie jest każde serce w kwiecie wieku — rozumu nie szukaj wówczas — mózg jest wtedy

jako ogromne echo ogromniejszego głosu serca — ale zawsze tylko echo — głos Boga pada nań lecz nie przenika — obija się tylko i znika — rozum wówczas jak skała nieruchoma, naga, martwa; nie okryje ją zieloność myśli; szczęśliwy jeszcze, jeżeli ziarna wiary dziecińskiej i równie jak ona świętej bojaźni Boskiej zdolają na skalistym gruncie znaleźć miejsce wzrostu; wówczas roślina cnót dziecińczych będzie ozdabiać mózg bezrozumny — a kiedy szalone serce zawoła głosem potężnym: roskoszy! zepsucia! echo szalonego serca rozerwie się rozbite o bujną roślinę cnót dziecińczych, nieopanuje mózgu.

— Nie miałam rozumu! wołała znowu dziewczyna; tylko serce ślepe, ogniste; nie miałam wiary dziecińskiej ni bojaźni Bożej, tego rozumu dziecińskiego co tak użyznia na przyszłość rolę duszy młodzieńczej — Serce tylko, serce szalone, serce kochające, chcące się poświęcić, chcące się zapęłnić, nie mogące znieść życia bez namiętności, oddechu bez ognia, — chciałam kochać — i cóż mi z tego co kochać — i cóż mi z tego co świat powie — chciałam za-

gasić pożar krwi, uspokoić fale serca—ażeby usnąć po burzy uczuć—usnęłam! życie hańby, katuszy, zmyślonych uczuć, konwulsyjnego szczęścia, życie swobodne a jednak podłe—życie serca w którym jednak serce martwe było—życie w którym najpodlejszy palcem mię wskazywał—w którym najenotliwszy nie mógł nawet pokazać litości swojej nade mną, ażeby się nie splamić i samą nawet cnotą nie w miejscu,—życie błota towarzyskiego! Spełniłam je, to biedne, nieszczęśliwe życie!—rozumu nie miałam—on dopiero z drugiej strony grobu przyszedł aby mi otworzyć oczy, aby pokazać hańbę moją, hańbę bez końca!—

Już znikła—starce zmarszczyli czoła—jeden z nich wziął pióro i zapisał dzieje nieszczęśliwej dziewczyny—Przewodnik odczuwał się—to jedno serce niech cię nauczy jak masz sądzić o kobietach. Zródło zepsucia, tego obrzydliwego zepsucia co tak świat brudzi, patrzaj leży w tak pięknej cnotie! nie potępiaj więc młodzieńcze te zatracone dla cnoty stworzenia, dla których społeczeństwo nie niesie oprócz pogardy! nie bądź jak owi pospolici ludzie,

szukający plam tylko na duszy współbraci, bo oczy zbyt mają słabe żeby odkryli połysk cnót ukrytych. Cnotliwi! cnotliwe kobiety! Śmieję się w duchu z tego—o biadaby była tym samym kobietom bez plamy, gdyby los im odebrał pierwsze nauki bojaźni Bożej wychodzące z ust matki, gdyby im dał krew trochę gorętszą, mózg trochę tępszy—gdyby odebrał bogactwo a rzucił w śmiecie gminu—o cnotliwe kobiety! i wieleżby z nich zostało tak jak dziś niewinnych, godnych szacunku, godnych miłości.—  
Widzisz więc co jest zasadą duszy kobiety.

— O! pojąłem dobrze!—serce uległe bez końca zepsuciu—rzekłem z ironją.

— O nie — odpowiedział starzec — serce kochające. W całym życiu, we wszystkich cnotach, w samych nawet zbrodniach kobiety, przebija się jak przez czarną chmurę słońce miłości — dla tego nigdy nie godzi się potępić niewiastę jak męża. Bądź jak wasz prorok przebaczący w jednej chwili Magdalenie, mówiący:— idź w pokoju; do niewiasty najzepsutszej, a grożącej zgubą wieczną mędrcom uchodzącym za cnotliwych. O! — dotąd

nie będziecie mieć wszyscy rozumu, dopóki się nie nauczycie tak sądzić.

— Patrzcie to nowe serce warte rozważenia, rzekł naczelnik zgromadzenia — małe, napół-uschłe, pełne plam — to jakaś choroba ciężka wyczerpała życie jego i zostawiła piętna przedwczesnego zniszczenia — patrzcie, oto rozkroilem — nóż wdrażał się ciężko walcząc z chrząstkowatą jego substancją, komórki wewnątrz małe, pozwężane — i patrzcie, próżne.

— Szczególne serce, rzekli inni z anatomiczną ciekawością oglądając biedne siedlisko namiętności. — Już bieguny zastosowane i blada cień stała nad swém sercem.

— Któs ty, rzekł naczelnik?

— Kobięta bez serca! — cień wyjąknął — kobięta uczona! pytaj dzieł moich, a ustóm pozwól milczeć.

— Znam ją, rzekł zimno mój przewodnik — ona się wyrzekła przez całe życie serca. — O! wieleż to lat musiała walczyć sama przeciw sobie, nim wreszcie wygrała walkę, nim zdołała powiedzieć: mam mózg, choć serce straciłam; w dzieciństwie jeszcze pró-

żni rodzice wmawiali w nią dumę nauki — dorosła dziewczica i lica jój jak kielich wonnego kwiatu rozlały wokoło tchnienie uroku i nadziei — przez oczy przebijała się dusza czysta, zdolna do kochania, w jój tchnieniu, rzeklibyście płynnie balsam dla cierpiącego świata; ale ona zawarła serce, ona wołała być uczoną niż kochającą, i straciła mądrość, którą Stwórca wlał w serce kobiety — mądrość serca; straciła tę myśl, tę wiarę i przekonanie, że kobieta jest kwiatem, który Bóg zasiał na twardym gruncie tego świata, aby go uszczęśliwić urokiem wiosny. Serce wołało — miłości! — ale duma krzyczała — blasku nauki! — i po każdej walce tych dwóch wrogów, przybywała plama na serce, aż schorzałe uległo wreszcie mniemaną mądrości. — Patrzcie — oto kobieta, która nigdy nie słyszała wyrazu: „kocham cię!” — która nigdy „kocham,” nie powiedziała! Kiedy żyła ludzie zbiegali się, aby widzieć kobietę z wielkim rozumem — a gdy umarła Bóg ją zawołał przed siebie, aby obaczyć potwór — kobietę bez serca. Starce zamysłili się a cień już zniknął — i znowu brali

serca świeże, i znowu zastosowali obróty maszyny.

— Lecz cóż to? starce, mądrość wasza osłabła! i magnetyzmu władza upada? cóż to! czyżże cień boi się spłynąć z krainy mar niewcielonych na świat ten?

— Przestań! odrzekł naczelnik — duch tój niewiasty nie do nas należy, Bóg nie pozwoli męczyć się wybranym swoim choćby chwilowem wygnaniem na nasz świat cierpiący. Może to serce matki jakiej, kochające Boga miłością dzieci, serce czyste, święte. Może to biędnej dziewicy serce, umiejacój kochać z całym ogniem poezji niebian i modlić się Panu całym sercem czystego cheruba — kto wie — może ją świat nie pojął, może świat zimny chciał rękę jój przykuć i oderwać od serca; chciał całe jój życie zamienić w przytłumiony wulkan obłudy i zdrady — ale serce czyste kochało z całą wiarą w nieśmiertelność tój miłości z drugiej strony grobu, i długo dręczone umarło z tęsknoty — i dziś dusza jój czysta jak promień słońca spoczywa już w gwiazdce. I któż wie, może to serce bi-



dnój siórotę — ona nikogo nie miała, nikogo i nic — prócz BOGA opiekuna i serca, które nikt nie pojął — biedne serce chciało kochać i wzdargę tylko zyskało, a wzdargzone nie umiało się pomścić i umarło z tęsknoty — szczęśliwsze dzisiaj wróciło do serca matki, i żadna siła nie przywołała je na świat, gdzie nic, nic prócz szyderstwa nie zyskało.

— Lecz cóż to? — widzisz tę postać wpół-zamgloną, rzekłbyś za chmurki zasloną? — duch téj kobiety jeszcze błądzi w krainie duchów, które głos wiary i wierzącego rozumu zdoła przywołać na ten świat — lecz wkrótce przejdzie do niebios, z kąd nikt go nie wywoła, bo to kraina niepojęta wzrokowi ziemskiemu. Nie zgadniesz rysów téj kobiety, powiesz tylko: musiała być piękną — powiadam ci; najpiękniejsza częśćka jéj istnienia już jest w niebie, został się tylko błędny odcień wdzięków jak blask tęczy, której pojedyncze kolory nie schwycisz, nie rozróżnisz, a przecie piękna powiesz. Ilekroć podobny duch staje zaklęty mądrością naszą, nikt z nas nie śmie pytać go o życie przeszłe — bo i któż

będzie tyle zuchwałym, by rzekł aniołowi: kto ty jesteś? bo życie jego przeszłe, życie ziemskie już zatarte w krainie duchów, wszystkie błędy tego świata już przepadły, czysta tylko cnota jaśnieje.— I śmiałżeby śmiertelnik pytać najcnotliwszego o czyny jego? a wielu nas tu jest, zbyt czujemy się słabymi, a więc dość pokory mamy.

Tymczasem obraz kobiety stojący naprzeciw nas rozjaśniał się, przybierał kształt wyraźniejszy — jak jasny obłok na błękitnym niebie, kiedy zachodzące słońce ozłoci brzegi jego i zarumieni lice, że łatwiej zrenica twa zniesie blask słońca niż tego błędnego obłoku.

— Starcze! ja poznaję tę kobietę! pomnę jak przez sen, pomnę jej rysy! zawołałem. Zaklinam cię kobieto! choćbyś została już najpiérwszym Archaniołem u Przedwiecznego, najjaśniejszym brylantem korony Jego — zaklinam cię, powiedz, kto jesteś?

A błędna postać zbliżyła się i rzekła:— „Mieliśmy wówczas oboje lat piętnaście— dusze nasze były tak czyste jak strumień z gór spadający, i tak wesoło tęsknące, jak chór

ptaków w pierwszą zielenią pokrytym gaju — i serce tak łagodnie biło, jak łagodnie płynię xięzyc po pogodnych niebiosach — ach! i takie kochające, jakby kochać wieki miało — lecz byliśmy nieszczęśliwi jak stare rozwaliny naszego zamku, na który, pomniesz, spozielaliśmy z zapalem młodzieńczym!

— To ona! ona! — starce! błagam was, natęzcie bieguny magnetyczne — niech całe dawne życie wróci do jej oczów, niech jeszcze raz ujrzę jej oczy, te błękitne oczy, te pierwsze oczy, co memu sercu świeciły!

— Próżno żądasz! nie ma władzy nade mną mądrość ziemską — dusza moja już jest tam! tutaj w krainie duchów związek z nami mających, jeszcze odcień mojego istnienia błąka się — i błąkać się będzie, dopóki odcień naszej miłości zostanie. — Ale ona już gaśnie! grób mój zapadł dawno, pamięć na ziemi zniknęła, twoje tylko biedne serce pamięta nieszczęśliwą ofiarę. Kochaliśmy się niegdys, ale w tej miłości nie było nic ziemskiego; — kochałam, niewiedząc dla czego; kochałam, bo urocza wiosna, ubierająca w godowe szaty

góry nasze, bo kwiaty, ich wdzięk, ich woń, bo niebo bez końca błękitne, tęskne, bo jakieś obszerniejsze, jeszcze bardziej tęsknące niebo w sercu kazało mi kochać. Przed laty nie śmiałaś powiedzieć, że pojdziesz mą duszę, i przed laty jam tylko domyślać się mogła — dziś, o ileż szczęścia! dziś wiem, dziś w krainie duchów mogę ci we śnie nad głową stawać, sny przeszłości sprowadzać i przyłożyć rękę do serca i uspokoić fale jego, wzburzone cierpieniami waszego świata, — dziś, ileż szczęścia! dziś mogę władać myślą twoją — myślą świętą, bo kwitnącą na grobie moim — dziś ciągle z tobą! — czy niespokojną duszą chciałbyś zyskać władzę nad duszami współbraci twoich, ja ci duszę uspokajam wspomnieniem cichego szczęścia naszego wpośród gór kochanych, pomnisz gdy i kwiatki nawet nie tak cicho jak my kwitnęły. — Czy świat cię szarpie zębami obłudy, zazdrości, pogardy, duch mój jednym uściskiem swoim zdoła wypędzić myśl o świecie całym, jedném wspomnieniem przeszłości! — czy nuda gryzie duszę twoją, smutek serce pożera i niewiara

staje przed oczami, ja duszę uśpię, ja do serca rękę przyłożę, ja w źrenicę wrzucę kilka promieni oczów moich, wspomnisz o nich i znowu cicho w sercu i w duszy i w oczach!

— Wspomnisz! i zawsze wspomnisz tylko! zawołałem.

— Ach! gdyby nie było wspomnień, nie byłoby nadziei — wieczności by nie było, nie byłoby nieba, i jabym nie była dla ciebie! gdyby nie było wspomnień, byłbyś tak nieszczęśliwy! — O nie zaciéráj wspomnień o mnie — jeżeli wpośród nieszczęść życia chcesz mieć choć jedną rękę, coby cię prowadziła, ręka wspomnień niech będzie z tobą, ona cię z każdéj wyrwie przepaści.

— Zaklinam ciebie rozjaśnij swe lica — ach! jam dawno szukał we śnie i na jawie obrazu twego, ale pamięć głuchą była na wotanie — niechaj cię ujrzę, raz jeden ujrzę, obaczę twe oczy, oczy tylko, a potém śmiało walczyć będę jak zechcesz za światem całym lub przeciw całemu światu.

— Oczy moje wyplakałam na ziemi — wiesz moje nieszczęścia, rękę moją przykuto

do posągu bez życia, serce kazano sprzedać, ach całą sprzedano! zostawiono tylko łzy i wspomnienia! Aż nareście po latach cierpień te błękitne oczy, któreś tak kochał, śmierć powlekła białym płaszczem nicestwa! zagasły już one, jasne tylko pukle włosów zostały nad bladym czołem, jak dawniej piękne — patrz, patrz te jasne włosy tylko, to czoło pogodne, śmierć nie ruszyła.

— Ach! widzę je nieraz we snach, z których przebudzenie tyle mię kosztuje.

— Blask moich oczów został w niebie — kiedyś je znowu zobaczysz.....

Znikła — a jam wołał: starce! przezliwość natęście bieguny maszyny, niechaj to serce odżyje jeszcze, niechaj ujrzę raz jeszcze te oczy, te błękitne oczy, te pierwsze oczy, co mojemu sercu świeciły!

Lecz o dziwo! nie było nikogo, tylko mój przewodnik z tym samym zwojem papierów, w tym samym odzieniu, z tą samą twarzą smutną i myślącą, stał przy mnie i rzekł łagodnie:—, widzisz jak potężna jest siła mądrości, połączonej z wiarą — wiara z grobu

każe powstać skieletóm i mówić o przeszłości—  
 wiara złamie wiele, pod czém ramiona rozu-  
 mu ugną się i siła najpotężniejszych dłoni  
 omdleje!— ucz się i wierz! a będziesz szczę-  
 śliwy, lecz biada ci, gdy będziesz tylko uczył  
 się nie wierząc, lub wierzył nie ucząc się!

..... Drzwi otworzył — wyszliśmy — noc  
 była jeszcze czarniejsza, a jesienny wicher  
 był przed nami i za nami, — otuliłem się płą-  
 szczem; starzec był obojętnym na zimno — i  
 znowu stanęliśmy pośród gór i skał połama-  
 nych w dziwne kształty pośród nieba ciemne-  
 go jak kir katafalku i zimniejszego może.  
 Droga dawna została za nami — obraliśmy no-  
 wą, była skalista i smutna, lecz się niebo  
 rozwidniało i w dali widne było pasmo gór  
 okrytych młodą zielonością, tonące rokosznie  
 w łące kwiatów, jeszcze świeżą pijących rosę.  
 Dalej wstęga rumianego nieba zapowiadała  
 wschód dnia pogodnego, jak blady połysk  
 gromnicy w ręku konającego zapowiada mu  
 życie nowe.— Starzec zatrzymał się zwrócony  
 do mnie: idź, mówił, tą prostą drogą, doj-  
 dziesz do domu twego — niebo się wypogadza,

dzień będziesz miał piękny — ja wróćę do moich współbraci — Nogi mi nie służą, nie dojdę już do łąki, co te góry otacza, nie zerwę kwiatów — ty zerwać jeszcze możesz — a gdy się znudzisz, przejedź do nas uczyć się Anatomji ducha — bywaj zdrów!” — i rozstaliśmy się.....





## IV.

### **Fatalizm i Duch.**

Falsitas i Buch.



~~SZPITAL  
Przemyslenia Pańskiego  
w Pradze  
Oddział Dra B. JAKUBIÁKA~~

## IV.

**Fatalizm i Duch.**

Menschengestalten verschwinden, aber der  
Menschengeist unsterblich lebet.

HERDER.

## I.



**D**WA są potężne prawa w naturze, których istnienie jest odwieczne, codzien stwierdzone, dla spełnienia których wszystko istnieje, wszystko ulega, przez których niepojęcie, człowiek widzi nieszczęście świata obecnych, przeszłych i prorok katusz przy-

szłych, nieraz ośmiela się bluźnić Opatrzności, a które gdyby zgłębił, ugiąłby czoło przed tym, który jest najmędrszy: — jedno jest *prawo materji*, drugie *prawo ducha*.

I któż nie widzi zwyczajnej kolei materji? — pospolity człowiek widzi urodzenie się i śmierć, cały początek, cały jej koniec, — nad pierwszym nieraz się cieszy — drugiego najczęściej płacze — płacze jak tego, co było pięknem i być przestaje. — Ale człowiek duchem zagłębiający się, widzi dalej coś więcej niż urodzenie, życie i śmierć — a każde z nich widzi inaczej, i każde uważając wywija tysiąc myśli najodleglejszych, najgłębiej gdzieś w mózgu jego będących, myśli genialnych, pocieszających duszę jego, jako dzieci pocieszają ojca w jego pracach i mokołach — są to jakby dzieci jego duszy, jakby aniołowie — stróże jego szczęścia, bo z niemi pojmuje co dotąd pojęciem nie było, albo co jeśli słabo pojmował, rzucało go tylko na fale niepewności, domysłów, niedowierzania i rozpacz.

Pospolity więc człowiek widzi okiem ciała — człowiek wyższy duchownem spoziera.

Ale i człowiek wyższy nieraz straszne widzi rzeczy — jeśli się zanurzy w badania samego siebie, przez tyle musi wprzód przejść marzeń okropnych, widzeń do rozpaczki prowadzących, że jeżeli do dna nie zgłębi duszę swoją, nie wysili wszystkich sił myśli, upadnie dusza jego w cienie, i z człowieka wielkiego będzie tylko genjusz ciemności, prorok rozpaczki.

Jak wspaniały jest widok świata, światów i miliona światów, i tego co jeszcze nasza wyobraźnia zapełnia, o czém się domyśla i marzy — i o czém domyślać się nawet niezdolna! — Wszystko rzucono w przestrzeń niezmierną — ale wszystko tak porządnie rzucono! — Żadna ziemia drugiej nie zawadza, — idą, idą, krążą, występują, cofają się i znów wracają — niby odwieczna warta, starzy słudzy Wszechmocnego — widok bez wątpienia piękny, godny oczów mędrca *świętego*!

Lecz cóż mi potem? — co dla mego wnętrza, dla mego czucia — czy jak nazwę to, co we mnie jest i wiecznie żąda lub odrzuca, myśli i wie lub chce wiedzieć — co z tego po-

rządku, który ledwo pojąć może.— Te olbrzymy zadziwiają, ale zaspokoić nie mogą, zdają się przywalać swym ogromem umysł nasz — a serce, a jakaś cząstka duszy czulsza, tём się silniój męczy, że ją taki olbrzym przywalił a nie nauczył. Badająca myśl rzucona na ogromy światów, jest to ryk lwa naziemskiego — przeraża tylko i zdziwia; dla człowieka potrzeba takiego tworu, takiej myśli, coby go pocieszyła a nie przerażyła — coby go nauczyła a nie zdziwiła. Nie — Astronomja nie jest nauką duszy naszej, ona jest nadto olbrzymią, nadto zadziwiającą, a dusza nasza nadto cheiwa władzy, nadto pragnąca wiedzieć!

I po cóż światy człowiekowi — kiedy człowiek sam dla siebie jest światem? — światy są jak ludzie, znają siebie, — mają własną duszę, idą we własną drogę — dla czego i ludzie również nie mieliby znąć tylko siebie, tylko dążyć do celu własnego? Światy są szczęśliwe i ludzie niech podobnie żyją, a będą również szczęśliwi.

Cóż jest człowiek?—Jakiś wypadek dwóch różnych przyczyn, skutek dwóch różnych czynności. Była materja, gład, może sto gładów, na sto różne ziemie przemienionych, w które Twórca rzucił iskrę swego Bóstwa— a wnet gładzi wzięły wzrost, i stały się stworzeniami czującemi, i zaczęły dążyć do podobieństwa z Bóstwem,—bo co z Bóstwa jest, do niego dążyć musiało, jako co jest z ziemi, do środka ciągnie ziemi;—tak się utworzył łańcuch zwierząt, te słabe dzieła, na których ręka natury wprawiała się, żeby utworzyć coś najlepszego — i na zasadzie prawa *dążenia* tego ruchu natury jednostajnie przyśpieszonego, stanął wreszcie człowiek tak niepodobny do ziemi, do gładzi, a przecież z ziemi i gładzi. Jest on więc wypadkiem czynności dwóch liczb:—jedności materji, to jest gładzi czy ziemi, i jedności ducha. Jedność jego materji téj części ziemskiej równą jest całemu postępowi natury od pierwszego gładzi krystalizującego się do najwyższej bu-

dowy zwierzęcia, jest to więc jedność ogromna *kształcenia się*—jedność mogąca się ocenić, jako uległa pojęciu zmysłów;—lecz druga—liczba ducha—ten płomień Boski dotąd jest i na wieki będzie zakryty przed rozumem rozmierzającym na liczby i wcielającym w słowa:—jak słowa ledwo wyrzeczone ziębną i przepadają w powietrzu, a jeśli je wryjesz w księgi martwe są—tak martwa tu mądrość nasza.

Przecież szukać i wiedzieć—jeśli nie wiedzieć, przynajmniej się domyślać,—będąc stworzeniem, wiedzieć co stworzenie—będąc człowiekiem, dochodzić praw człowieka, jego początku, dziwnej czynności, jego zagmatwanej maszyny, i co najbardziej jego końca, przyszłości;—nauczyć się drogi, którą szła natura tworząc jego, i tą nauką być niejako w części twórcą siebie—ani człowiekowi wzbrania prawo natury.

### III.

Cały czynny ruch w naturze, przez który tyle tworów powstało, jest ruchem kuli na



gładkiej płaszczyźnie;— postawiona waha się, naprzód mocniej, potem słabiej, wreszcie ustaje— może nie ustaje, może waha się dalej, ale ruchy tak są drobne, że zmysłom podlegać przestają — choć stanowimy prawo, że nie masz doskonałej płaszczyzny, a więc nie ma i ruchu wieczystego. Tak i stworzenia w naturze, ta wieczna oscylacja, wzbudzona ręką dającą jej prawa, trwa tylko do pewnego punktu.— tak kształcenie się materji, postęp jej od najniższości, do tego co śmiemy nazwać doskonałością, jest pewny, zamierzony; dostąpiwszy do niego, postęp ziemi staje się coraz niewidoczniejszym, przynajmniej dla naszych zmysłów, i wreszcie ustaje — materja najdoskonalej ukształcona przestaje mieć siłę do kształcenia się dalszego — musi znowu stać się niższą — to jest pierwsze *prawo jej* — Stwórca wyrzec musiał: *Ziemi masz koniec!*

Kto poznał to *prawo ziemi*, wytłómaczy wszystko co się z nią dzieje — wytłómaczy wszystkie okropności, klęski i zniszczenia, jakim świat materialny podlegał i podlegać będzie.— Rewolucje ziemne, potopy, przepa-

ście, które tylekroć ziemia otwierała, aby porzucić piękną cząstkę swęj powierzchni, nie jestże to powtórzenie *pięrszego prawa materji*: koniec mieć będziesz?

Dla czegoż materja umiera?—rzekliśmy—bo jest w ruch wprawioną—gdyby nie było tego nie umierałaby, istniałaby niezmienną—i któż wie, czy przed pięrszą chwilą tego ruchu nie upłynęły miliony lat—wieczność—tylko nie było komu liczyć tych lat, nie było komu—bo wszystko było jedném i tém samém;—było materją bez ruchu—odkąd dopiero ruch powstał, zaczęła sama siebie pojmować, obejrzała się, ocknęła się z letargu nicestwa, uczuła że żyje—widziała się coraz doskonalszą. I cóż jest ten ruch?—jest to wypadek, skutek czynności Przedwiecznego, Przedwieczny miłością jest, ukochał więc ziemię, dał jęj technienie swoje i wnet pojęła czém jest—On najmędrszy! więc materję martwą niegdys nauczył postępować dalej—nim On ją ożywił, trup to był niemożący dać początku niczemu—był to chaos—ziarnko, które swém technieniem ogrzał, że

mogło wyrosć w piękne drzewo życia. Im więc bliżej stworzenie jakie ostatniego punktu, czyli co jedno jest, im bardziej oddalone od pierwszego, w którym martwą była materja, tém jest doskonalsze. Iskra bowiem Bóstwa nie mogła się przyjąć równie dobrze we wszystkich stopniach tworów; do niższych zachodziła tylko na chwilę, ażeby je usposobić do wyższej doskonałości — wyższe do jeszcze wyższej — aż póki wreszcie nie stworzyła człowieka tę najwyższosc, do jakiej tylko materja sposobną była — z jego stworzeniem skończył się cel ziemi. Ziemia — materja w człowieku przekształciła się tak, iż więcej przekształcić się nie mogła, musiała więc znowu stać się niższą, — możeby zresztą i mogła, ale nie na tym już świecie, nie wśród tych co tutaj okoliczności.

Stanął więc człowiek najwyższy twór ziemi — człowiek z obliczem pięknym, ku niebu wzniesionym, aby ciągle widział i przypominał, że jeszcze jest strona nieznana jemu, do której dążyć powinien, że on jest ogniwem łączącym wieczność z nicością. Ta iskra Bó-

stwa, co w istotach niższych, w zwierzętach, wojować się jeszcze zdawała z siłą materji, co nie zdołała nigdy wzniesć ich czoła ku niebu, ani obudzić marzenia o nióm — ta iskra Bóstwa, ten duch wygrał wreszcie walkę toczoną długo, bo przez cały łańcuch tworów, opanował materję i przemagać zaczął. Duch ujrzał się w nim wolnym nareście, mogącym działać dziwy, bo machina, w której działał, sposobną była do tego. — Ztąd człowiek wygórował nad młódszemi bracią swymi zwierzętami — natura była kochającą matką dla niego — zwierzęta o jakże bardzo skrzywdziła — dziecię już obdarzyła rozumem większym niżli olbrzymiego słonia. Wzrosł w męża i oto dzikie zwierzęta uciekają przed nim — przed nim nagim, niemającym ani pazurów jak tygrys, ani siły jak lew, ani ogromu jak słoń. Upada królestwo zwierząt — człowiek obejmuje najroskoszniejsze miejsca ziemi i każe niepełtanemu dotąd koniowi, temu dziecięciu stepów, oddać grzbiet, i patrz! lwa ugłaskał i słoń mu służy — a co nie chce słuchać niech ucieka, niech ginie! — Człowiek

działa dalej a dalej — tworzy dziwy, co go przeżyć mają — mało mu powierzchni świata, trzeba iść drogami tajemnic natury — wdarł się w kuźnię ziemską, gdzie natura od wieków kuje żyły kruszcowe, — i nie zastraszył go cień pieczar, które sam wyrył — ani zatrwożył się najstraszniejszego ze wszystkich milczenia podziemnego, a to dla kawałka kruszczu. I patrz! oto narody z człowieka, różnobarwne, czynne, myślące, wesole — piękny, piękny to bez wątpienia widok! niechaj nań spójrzy ten, kto w człowieku nie widzi nic Boskiego, nie nieśmiertelnego — niech ujrzy dzieła człowieka, przezywające swego mistrza, jak gdyby miały zostać po nim, aby za grobem jeszcze duch jego przyleciał widzieć co zdziałał, cieszyć się, że był twórcą maszyny mocniejszej nad niego — niech spójrzy i niech powie, czemu człowiek tak nie trwał, a dzieła jego tak potężne?

Bo duch co w zwierzętach był więziony, w nim działa swobodnie, — siła ta leniwą materję uczyła życia, uczyła poznawać co jest życie — w tych tworach od mchu do najwyż-

szego zwierzęcia; lecz z każdego szła dalej do doskonalszego — udoskonaliła najwyższosc — człowieka, i powiedziała: „ziemio doskonała! dziecię długich mozolów moich! pojmiij mnie, pojmiij Boga, bo z Niego jesteś, bo do Niego wrócisz!”

Bo do Niego wrócisz! — i któż rzeknie z pewnością? — kto raczej śmie powątpiewać o tem? Jeżeli, jak widzieliśmy człowiek stanowi najwyższosc materji czyli razem nie stanowi wyższosci ducha? a jeżeli materja musi wrócić do swojego początku, czyż nie powinien i duch wrócić? — Wszak w naturze nie przepada, systemat jój jest systematem najekonomiczniejszym, przychód i rozchód muszą być równe sobie. Wraca zatem duch z kąd przyszedł, i zanosi pamięć swego istnienia do Ojca Przedwiecznego.

Nie umiera zatem człowiek, bo duch umrzeć nie może, jako część nieśmiertelnej całości, tylko machina, którą ożywiał i wprawiał w ruch, przestała być zdatną do objawienia czynności duszy — starły się koła tego zegaru, stępały i połamały się zęby ich — sprę-

żyna zerdzawiała — funkeje człowieka osłabły — barmonja ich znikła — materja straciła chęć dalszego popędu — opuścił więc ją duch, ale z nią razem nie przepadł. Więcej powieździeć można — i materja jest nieśmiertelną, bo w wiecznym jest obrócie, ta sama od wieków krąży, staje się ożywioną i znowu wraca do prochu — dzisiejszy robak rozrodzony jutro będzie pastwą dla ćmy owadów, których śmierć znowu zrodzi bo wyżywi miljony płazów, i coraz a coraz dalej — Lecz nieśmiertelność materji względną jest — miała początek, więc koniec mieć musi; — inaczej się dzieje z duchem, bez początku był, bez końca będzie. Ta jest pierwsza zasada nieśmiertelności człowieka — dowody jej w słowach słabe są, bo Stwórca większemi, nieśmiertelnemi zgłoskami wypisał je na sercu i sumieniu człowieka. I pocóż dowodzić! poco zarzucać téj prawdzie kłamiąc w obec serca własnego?

Jedna tu tylko myśl zawadza — a młodszy bracia człowieka, zwierzęta, czyż mają być skazane na śmierć bez życia drugiego? — tak jest, bez życia drugiego. Duch co je ożywiał,

widział ich całą niedoskonałość, opuszczał więc ażeby stwarzać doskonalsze— a i najdoskonalsze były jeszcze nie doskonałemi, i najdoskonalsze więc odstępował;—jako orzeł Alpejski, gardził niższemi urwiskami aż na samém najwyższém, na samém czole Alpów usiadł, jakby żądał bliższym być nieba.

Tak więc człowiek sam jeden, potężniejszym jest nad wszystko, co go poprzedziło i przeżyje, mieści w sobie wszystko jak gdyby miał stanowić zwierciadło, w którym się odbiła cała natura; jak szkło skupiające rozrzucone promienie słońca w wiązkę jedną, jaśniejszą i palącą. W duszy jego, jak w pryzmie, rozbiły się promienie pojęć natury na swe pierwotne promienie i mogły się znowu skupić w jedną błyszczącą całość. Człowiek tyle w sobie zmieścił nadziei, żądz, popędów, przez tyle ogłosił je czynów, myśli; oko duszy jego sięga tak daleko, serce czuje tak mocno, wola dokonywa tyle cudów, że i sam człowiek słusznie może się nazwać najwyższym cudem natury. Z dwóch części tak przeciwnych złożony,—z ziemi wiecznie leniwej, nie poruszono-



nój, bez bodźca mocnego i ducha nie potrzebującego żadnego bodźca, będącego samym ruchem; stanowi prawdziwy punkt usiłowań dwóch różnych ruchów: jednego postępowego—*ruchu duszy*, drugiego wicznie pragnącego cofać się—*ruchu ciała, ziemi*. W nim jest plac walki dwóch potężnych nieprzyjaciół: ziemi—broniącej swego *prawa spoczynku, tożsamości* i duszy pragnącej ruchu i władzy nad ziemią. Takim jest, mówię, człowiek, ukochane dziecko natury, któremu Stwórca w chwili urodzenia błogosławił na długie i rokoszne życie.

#### IV.

Lecz zajrzyjmy w dzieje jego—w jego względne życie z naturą.—Jego potęga jestże tak wielką jak sądziliśmy? Obaczmy przemiany świata:—czyż potężny człowiek choć raz mógł się im oprzeć i śmiać się z przemian, sam tylko nie tknięty?—O, jak słusznie powiedzieliśmy z filozofem Niemców: „Okropnie jest spojrzeć na przemiany ziemskie i widzieć tylko rozwaliny na rozwalinach, wieczne zaczę-

cia nie dokończone, igrania losu bez trwałego celu! Sam tylko łańcuch obrazów, stanowi całość z tych rozwalin, w którym chociaż ludzie przepadają, ale duch ludzkości nieśmiertelnym jest i dalej postępuje.”

Dzieje natury pełne są rozwalin jak i dzieje ludzi— równie ręka jakaś burzyła powierzchnię szczęśliwej ziemi, jak i towarzystwa szczęśliwych narodów. Same tylko zwaliska na zwaliskach! Cały świat dzisiejszy jest ogromnym cmentarzem przeszłych wieków, a za każdym stąpieniem, depcemy kości naszych poprzedników, równie jak my dumnych, równie jak my nie trwałych! Na zgliszczach dawnego szczęścia stawiemy ołtarz swojemu, zgnilizną przeszłości karmimy obecne nadzieje! Jak mędrzec boleje czytając dzieje swojego rodzaju, tak codzien boleje cała natura czytająca wszystkie zmiany jakie i ona przetrwała. Wieleż przemian potrzeba jej było wycierpieć, żeby zostać czem jest teraz, wieleż jeszcze przyjdzie wycierpieć! Człowiek pośród zmian tych, uległ podobnemuż przeznaczeniu, szedł za pędem całej natury, z jej zmianami odmieniał

się, a cała potęga jego duszy służyła mu tylko na to, żeby mocniej los swój uczuł, i wyrzekął ręce działającej, jeżeli działała to bez celu, lub ją całował, jeżeli i w tém szczęście jego buduje.

Widzieliśmy postęp materji od pyłu do człowieka;—stworzenie od stworzenia stawało się doskonalszém, lecz mimo to nie mogło być wyjęte od prawa, któremu ulegała samaż materja. Ziemia, jak rzekliśmy, do pewnego tylko punktu mogła się ukształcić, doszedłszy go wracała do swego początku aby nanowo zwykły obieg odprawić. Co się stało z atomem ziemi, to się musiało stać z tysiącem, z miljonem ich; wszystkie weszły w obieg i sprawiły piękny, porządny ruch. Każdemu ze stworzeń udzielono życia—lecz że machina do objawienia się jego służąca zużywała się, dobroczynna natura dała siłę powtórzenia niejako życia w życiu potomstwa—oto przyczyna téj rozliczności istot ziemię zaludniających. Każdy twór według postępowej wyższości swojej, według większości ducha dostał organizację odpowiedną, to jest taką, aby przez nią

wyższość życia mogła wygodnie działać. Tym sposobem każdy twór był doskonały w samym sobie—był szczęśliwy. Lecz względny stosunek tworu do tworu, do tłumu tworów, słowem, do całej natury, zupełnie był inny, jako dążenie pojedynczych tworów inne było. Ztąd razem każdy twór musiał być nieszczęśliwym względnie drugiego;—jeżeli zatem twór ten pojął takowy stosunek,—uczuł swoje nieszczęście; jeżeli nie—nie. Ponieważ zaś we wszystkich stworzeniach jako niższych stopniach doskonałości nie było całkowitych doskonałych pojęć względnego bytu, więc nie mogło być i pojęcie nieszczęścia tego— a ztąd wynika że w stosunku doskonałości czyli pojęć tworów, rosło w nich szczęście na widok względnego bytu szczęśliwego, a nieszczęście w stanie przeciwnym; że zatem: *jeden tylko człowiek jako summum stworzenia skupił w sobie czucie szczęścia i nieszczęścia*, czyli co jedno jest, że on tylko jeden poznał swe względne położenie z całą naturą—Nic więc dziwnego że on tylko jeden w całej naturze zdolnym jest do błogosławieństw i przeklęctw. Jeżeli są zatem klęski

dosiegające twory śmiertelne, klęski te jeden tylko człowiek prawdziwie czuje i prawdziwie oceniać umie; inne stworzenia znoszą je nie wiedząc, a więc ich nie doświadczają. Wulkan świeżo wydobyty, co tysiące pożarł tworów i piękną świątynię natury w kupę gruzów obrócił, uspokojony jutro nie zmieni ani lotu wędrujących tamtędy ptaków, ani jednej nuty w śpiewie skowronka, ani jednego kroku zwierzęcia szukającego trawy;— Sam tylko człowiek na rozwalinach staje, i płacze przeszłości, i rozmyśla nad losem ofiar zginionych, i zlorzeczy losowi czy ręce co je zniszczyła. Człowiek więc tylko jeden prawdziwie cierpi — reszta stworzeń obojętnie spoziera — człowiek jeden myśli nad swym początkiem i końcem, reszta tworów jak nie pojęła minuty, urodzenia tak nie myśli o chwili zgonu.

Nieszczęśliwy w tém los jego, że jest najpotężniejszym myślą, a w czynach bezsilny. Zapytajmy dziejów świata czem był człowiek od pierwszego dnia swego istnienia aż do chwili obecnej? czyz postąpił w czémkolwiek?— czyz działał, czy przemienił choć na ziarno

porządek zwyczajny? Objąłem okiem całą ludzkość—widzę jak się wydobywa z ciemnoty!—Nagie stworzenia, ale rozumne, chwytają najprostsza broń, wypędzają braci swoich—zwierzęta; już świat wzięli w ręce swoje, mnożą się, dochodzą, zgadują, tworzą, zabierają dla siebie ziemię—dzielą ją, nazywają—nauczyli się tyle, że śmiało rzec można, rozumni są,—zrobili tyle że powiedziałbyś nic do zrobienia nie zostaje—przecież idą dalej; już im nadto dobrze na świecie i niedawno nadzy żebracy, przed chwilą przechodnie z stron nieznanych już zazdroszczą sobie, niszczą się, giną tłumami—i natura przeciw nim—tam wulkany, tam przepaście—coraz nowe pioruny nieszczęść biją, i straszniejsze nad wszystko choroby zaczęły ich męczyć. Rozum opiera się nieszczęściom, wynajduje sposoby zaspokojenia strat nieraz tysiąckroć gorsze nad straty same—i wreszcie sam zbłąkał się w manowcach myśli—raz dumny, znów nikiemny, zaraża dumą i nikiemnością tłumy, i już duma i nikiemność panują. Stoi w oczach mych widok upłynionych wieków—tysiące barw, tysiąc dźwię-

ków mięsza się w nim, krzyżuje a po wszystkich zostaje tylko cichość, cmentarz! Pogorzeliska narodów odkrywają dopiero zpod własnych popiołów kości jeszcze dawniej pogrzebionych ludów — tak jak zgnilizna człowieka kryje zgniliznę robactwa! Niemasz stepu tak pustego, puszczy tak okropnej w którejby nie była niegdyś świątynia życia, a za chwilę później—trumna; jak niemasz jednej rośliny, któraby nie wzrosła z prochów stworzeń umarłych, ani jednego stworzenia zwierzęcia, coby się w życie nie wzbilo śmiercią innych tysiąca—*Świat jest ogromną księgą dziejów śmierci.*

Oto jest *prawo materji*, ziemi,—raz naznaczonemu jej ruchowi ulega wszystko—od jej dążenia nie zboczyć nie może—kiedy obaczy czas powrotu, wszystko wraca do nicości! Okropne to prawo dla ducha, pragnącego wszystko zagarnąć pod siebie, nazwać można *Fatalizmem—Przeznaczeniem.*

## V.

Fatalizm pierwszym jest królem ziemi. Wszystko co się dzieje dzisiaj, działo się już

dawniej i może nieraz — Świat cały jak człowiek ma swoje funkcje, których porządne działanie stanowi warunek prawdziwego zdrowia — jestestwa; zwierzęta, ludzie, są to drobne cząstki tego ogromnego ciała, które nieraz z łona swego wyrzuca jako zestarzałe i niezdadne do życia. Życie więc jego jest to porządny ruch maszyny, w której Twórca każdej cząstce nadał zamierzone pole działania — dalej postąpić nie może, inaczej cała machina ucierpi — a jeżeli postępuje, ręka mistrza zwraca je na drogę dawną.

*Więc całe masy ludów są pchnięte do ruchu nie przez wiek wymyślonego! więc los ich jeszcze przed chwilą stworzenia już był oznaczony, nie cofnięty!* Okropna prawda dla ducha człowieczego, chcącego być panem choć tej trocha ziemi oddanej mu w ręce, choć tych troche sił mu udzielonych — posiadać, a niemódz użyć — działać i zdziałać to tylko, co nie on wymyślił, co komu innemu wiadomo jak się skończy! — Całe dzieje z szeregami swych piękności są zatem ogromną rzeką mającą początek na łonie Przedwiecznego! w swym



biegu zabierała wszystko, co było na jej drodze: czyny ludów poszły w jej kierunku; a jeśli chciały odstąpić, rozszerzała się i garnęła w siebie i kierowała dalej w swoim pędzie;—każdy zakręt tego ogromnego potoku, każdy nagły wylew jego, nazywamy gwałtownym ruchem, wzniesieniem się narodów, każdą przepaść, którą jej przebyć trzeba było—ich upadkiem. Lecz któż jej rozkazał się wylać, albo bieg zwrócić? kto rzucił przepaście na jej drodze? czy ty człowiecze? wyż to zniknione działające ludy?—Nie—ręka pierwszego prawa materji. W tej rzece dziejów jest ogromna pracownia natury, w której rządzi losem ludzi, i tysiące jest rzek innych, dziejów innych tworów, a wszystkie razem płyną i wlewają się w jeden ocean czasu. Ręka ludzka nie zwróci tego potoku, wytknięta jest droga jego i brzegi strzeżone. Tej prawdy dowiodą nam dzieje świata.

Naznaczono jest człowiekowi postępować, kształcić się—więc kształcił się w pierwszej zaraz chwili swego życia—i kształciło się pierwsze towarzystwo, pierwszy lud.—Indywidualna

rozsypały się po świecie, jedne wcześniej, drugie później, w miejscach więcej lub mniej ułatwiających jego ukształcenie; ztąd jedne pierwój, drugie później się ukształciły, jedne dopięły błógię bytu, inne dzikie, nieokrzesane, biędne, musiały po zwierzęcemu starać się o piérwsze potrzeby. W miejscu najszczęśliwszém, posiadajacém najwięcej środków zaspokojenia żądź człowieka, musiał powstać naród najucywilizowańszy— a im strony zaludniające się mniej żądzom odpowiadały, tém dłużej człęk musiał wojować z potrzebami i później przychodził do stanu błógię. Tym sposobem powstał, rzec można, łańcuch narodów, którego piérwsze ogniwa były złóte, ozdóbné—ostatnie żelazne, nieokrzesane. Lecz taka nierównowaga istnąć długo nie mogła; najbiędniejsze narody poznały z czasem że jest gdzie indziej szczęście— jest byt błógi, którego one nie doświadczają— a silne ciacłem, ze zwierzęcą żądzą łupu, nie zepsute w sobie, piérworodné, że tak powięm, rzuciły się na szczęśliwszych, ale długięm szczęściem wycięńczonych, wyrodzonych braci swoich; powstała

chwila upadku jednych, panowania drugich. Ale i nowi władcy ulegli zwyczajnemu losowi. Znalazły się jeszcze narody dzikie, długo wojujące między sobą o pierwsze potrzeby życia, co wreszcie ujrzały piękne korzyści w zburzeniu przeszłości—i już dawnych zwycięzców zastąpili nowi, mający kiedyś znowu zostać ofiarą jeszcze innych.

Cały systemat dziejów na tém polega, że jeden naród był wojującym, pogromcą, postrachem drobnych krajów, aż się znalazł kóten, silniej się opierający, a o ten rozbiło się stalowe berło jego—i stał się potem jak olbrzym po walce z Bogami—znużony, pragnący wyleczyć rany dawne—osłabł odtąd na siłach duszy i ciała i stał się gnusności olbrzymem—z którego miał być tylko wkrótce trup większą przestrzeń zalegający ziemi, i wzduszający więcej krakania kruków, mających go poszarpać — a w przyszłości więcej podziwu mędrca co będzie oglądać szkielet jego!— Tak Olbrzym Assyryja znalazła sępa Babilonję; obu razem pożarła Persja — ażeby wkrótce rozedrzeć opasłe trzewa swoje na skałach Salami-

ny i chorować potem długo, i gnuśnieć, i wypaść trupem swoim sławę jednego młodzieńca! Na rozwalinach całej przeszłości powstał Rzym—potwór z ogromu, różnorodne ciało złożone z genjusza Greków, przepychu Wschodu, niezłomności Kartagińskiej i rozbojniczej duszy rozbójników co go założyli. Rzymowi przyszło skruszyć się własnym ciężarem, zgnić za życia, i przed skonaniem śmiercią naturalną zostać ofiarą hord północnych, które w czasach potęgi uważał tylko za dzieci swawolne, za burzliwe, karłowate stworzenia, które ochłostawszy znowu na siedmiogórzystym rozpierał się tronie i kazał lać pod swe stopy bogactwa całego świata—i temu to Rzymowi nie dała Północ umrzeć na jego złotem łożu, a trupa nie chciała pogrześć!—Oto są dzieje starożytności!—jedna wielka rewolucja ludzkości, jedno ogromne dążenie północy zamknęło księgę jej dziejów, wyrzuciło jej tron bez powrotu.

Nowy świat historyczny powtórzył w swych kolejach starożytność—odbiła się ona w dziejach następnych—i choć umarła, odżyła znowu co do kształtu i losu. Barbarzyńcy lub spr-

wiedliwiej mówiąc słowami pisma Mężowie ducha wielkiego zajmują świat ospały — świat-trup, i rozkrzewiają się w piękną roślinę, wyrosłą z popiołów przeszłości — Powstaje nowy olbrzym Longobardowie — spółcześni Germanie — Atylla — Wszystkich pożarł mocarz zachodu w jedném mocarstwie Franko-Germańskim, jak niegdyś Persja sąsiednie żyjątku ludzkości, i znowu rozbił się tron ten własną niemocą. Tam na wschodzie upada stary gmach czcicieli słońca, tam wschodnie państwo dogorywa, a wszystko jako ofiara Islamizmu — a cały Islamizm przygotowany na pokarm nowemu olbrzymowi! Któżby patrząc tém okiem nie ujrzał przyszłości? Materjalne istnienie narodów jest jak istnienie ziemi, ciągle kształcające się — ale tylko do pewnego punktu i w pewnym niezmienionym porządku. Historia ludzi, jak historia ziemi, ma swoje pustynie, swoje oazy, swoje przepaście ulegała swoim wstrząśnieniom, swoim potopóm, a zburzona prawie do szczętu znowu odrastała, znowu zakwitała. Dzieje to materjalnego świata.

Ale piękniejsze i stokroć więcej pociesza-

jące są dzieje ducha—przejrzyjmy je, a poznamy że wszystko przepada, ale duch wszystkiego nieśmiertelnym jest; że ludzie umierają, ale *ludzkość trwa wiecznie*. Jeżeli przeszłe *prawo materji* osłabiło duszę naszą i zwicnęło myśl śmiałą, to prawo ducha tém wyżej wzbi-je umysł nasz, zaszczepli w nas tém mocniej wiarę w siłę naszój duszy i nadzieję nieśmiertelności.

Tak jest nieśmiertelności! czuję cię w sobie ilekroć myśl swą rzucam w przepaść méj duszy—czuję że jestem duchem— a jeżeli jest we mnie cząstka materjalna, milczec musi ilekroć on rozkazuje; czuję cię ilekroć dążę do doskonałości, a w ciebie wierząc, *wierzę w postęp ludzkości*.

## VI.

Jeżeli rozum jest duszą— dusza musi się rodzić i kształcić jak ciało; i są ludzie i narody bez duszy lub przynajmniej z jój tylko zarodem— narody te jak piaski bogatěj Indji, podle z wierzchu, wewnątrz kryją drogie ka-

mienie—potrzeba zmyć pleśń je pokrywającą, a błysną djamenty—albo jest to ziemia północy, ziarno w jej łonie będące martwe jest, dopóki nie ogrzeje słońce wiosenne i nie spędzi lodów i śniegów, co mu przeszkadzały zejść i zakwitnąć. Takim samym jest duch narodów, nim czas i okoliczności przywołają go do życia; lecz skoro raz ożył, raz zaczął rosnąć, nie przestanie nigdy—jako bez początku i bez końca źródło jego—Bóstwo;—tak i on i jego dążenie *końca niema*; nie podobny do téj ziemi z którą zmięszala go natura, mającej punkt końcowy, za który wyjść nie zdoła. Niemasz końca dążeniu duszy—Niemasz końca postępowi ludzkości, choć materja w którą dusza uwięziona, choć narody przez które się objawia ludzkość giną, duch ludzkości żyje, postępuje, doskonali się. Rzuć potężném do gruntu sięgającym okiem, a spostrzeżesz jeden, ogromny cel Stwórcy—zbliżyć wszystko do Siebie, dać Siebie poznać i przez to uszczęśliwić. W cały więc świat wlał wewnętrzne przekonanie się—*sumienie*. Jako jedyném, wewnętrzném niby zwierciadłem jest sumienie,

w którym widzi siebie do gruntu i czuje swą godność lub hańbę — tak i cały świat ma to zwierciadło, w którym przegląda się duch jego i rozważa jak daleko postąpił i zbliżył się ku swemu Twórcy. Sumienie to jest niby obliczem Boskiem, w które wszystko co żyje patrzy, a patrząc przypomina cel swój, i jeżeli od niego jest dalekie, nanowo siły nateża aby się zbliżyć. Dopóki więc świat patrzy w oblicze Bóstwa, Ojca swego, dopóty nie przestanie duch jego dążyć do doskonałości, dopóty ludzkość nie zapomni o swém przeznaczeniu zostać godną swego Ojca — BOGA.

Gdzież jest pustynia taka, gdzie tyle podła kraina ziemi, w którejby człowiek nie pokazał tego dążenia. Za ledwo myśleć zaczął — już czuł potrzebę doskonalenia się, już znał Stwórcę i cel swój pragnąc działać, już go naśladował działając. I jeżeli będziemy świat uważać o ile duch człowieka na nim działał, wyda się on nam bez wątpienia wiecznym źródłem, wyrzucającym potoki wód, z których nieprzebyty powstał ocean. Ziemia i jej dzieje i jej cała cudowna budowa będą kiedyś



odkryte i wyliczone, tak, że przyszłość będzie wiedziała o najmniejszym jej ruchu o najmniejszej w niej sprężynie;—ale dzieje ducha, co świat od wieków zamieszkał, ale jego postępy, jego wiecznie burzliwą czynność któż wypisze i jakimi słowami, i na jakich kartach, kiedy tyle ludzi przeszło, minęło i jeszcze niezużyło wszystkich myśli—i jeszcze codzień myśli te rodzą się, rosna i na tysiąc kroć znów się rozradzają!—

Przejrzyjmy dzieje narodów najbiedniejszych i potęgą strasznych;—znajdziemy tam wszędzie jakąś myśl wielką, działającą.—Zdaje się jakby Bóg narody potworzył niby okresy i zdania, ludzi na świecie niby głoski—a wszystkie razem ludy są jedną myślą BOGA olbrzymią, którą on wymyślił. I myśli tych jest tyle ile wieków, ile przemian narodów; a wszystkie razem myśli, wszystkie wieki i narody są jedną księgą *mądrości*, którą Wszechwładca napisał i rozumie. Ziemia i wszystko materialne jest to tylko karta, są to stronicę księgi, same przez się nie nie warte, ale wiele znaczące skoro na nich Przedwieczny wrył my-

śli swoje. Przyjdzie czas w którym zapisze się cała księga—ukończy Pan dzieło swoje!—nawczas myśl na pierwszej wypisana karcie pozna się z myślą ostatnią — i myśli z myślami pojmą się— i uczują że są częścią mądrości, że są częścią tego, który je stworzył. I cóż jest ziemia, ta karta nietrwała przed myślą na niej wrytą?—i cóż znaczy myśl jedna z niej pojęta, kiedy nie znamy jej związku z innymi, co już wyżej wypisane, i z innymi, co będą jeszcze kiedyś? Nie będzie to samo jeśli powiem — co znaczą dzieje naszej ziemi—kiedy ona jest tylko miejscem myśli duszy? jak możemy oceniać wypadki świata, kiedy one są tylko oderwaniami myślami jednego, ogromnego dzieła mądrości!

Z tego widzimy że nie jedną klęskę człowieka lub świata bezprawnie oplakujemy—może ta klęska jest jedną z najpiękniejszych kart mądrości!—Czyż Rzymu nieopłakiwało tysiące ludzi, gdy na jego pomnikach nauk i sztuk północne hordy wojenne ogniska zapalały!—niejeden może starożytnik, niejeden przesadzony, próżny lubownik mądrości Rzymskiej

uboléwa dziś nawet, że przez te nieszczęścia przepadły ułamki jakiej ody, lub urywek filozofji,— a jakże słuszniej musiały płakać obecne ludy skrzydłami Rzymu osłonięte jego upadku— ileż łez, ile krwi wylało się w Rzymie samym!— A przecież w moich oczach sądny dniu Rzymski jesteś dobrodziejstwem dla świata! jesteś krwawo napisaną kartą okupiającą ludzkość stu następnych wieków!— jesteś jak myśl mędrca napisana obojętnie, zimno i surowo— głupiec ją odrzuci, bo on tylko słodycz lubi, ale znajdzie się ktoś, kiedyś, co ją zdoła ocenić. Całe owe nieszczęścia zwały gnuśną przeszłość, i świeżym, nie zepsutym pokoleniom, otworzyły pole do pięknego życia. Gdyby nie owa nagła klęska Rzymu, możeby Północ, stopniami ocierając się o jego ściany, powoli przyjęła jego obyczaje i narowy— a co najokropniejsza, jarzmo niewoli, i służyła tylko za większe łoże, na którémby ten zgniły na pół wielkością i zbytkami olbrzym się rozwał;— i co za nikczemny widok— młodzieńczy świat w pętach schorzałego starca! całe tłumy młodych duszą ludów wypierają się myśli wła-

snych i myślą myślami tego starca!— Czemu raczej ta wielkość Rzymska nie została w dniu odrodzenia się Europy do gruntu zburzoną, żeby nie został kamień na kamieniu— możeby nie nastąpiło potem kilka wieków ospalstwa, w których rozumem nazywano napchać się szczątkami Rzymu i Grecji— jak gdyby po ich upadku duch ludzkości stracił już tę cudowną siłę tworzenia dzieł wielkich, jak gdyby z pogrzebem Rzymu pogrzebiono sumienie świata!

## VII.

Lecz chwała wam genjusze prawdziwe! zrodzone na ziemi, którą kochacie, wykarmione miłością współbraci swoich, myślami, czuciem ludzkości! Genjusze są to owe głoski, któremi Przedwieczny pisze dzieje mądrości, i szczęśliwy naród co jest zapisany myślami ich, ich miłością. W genjuszach odzywa się najmocniej ta siła twórcza co od wieków działa— są to najukochańsze dzieci BOGA— palec Jego pokazujący całym narodóm drogi, któremi mą-

drość prowadzi i rzeczy przez nich tylko pojęte, — w nich skupia się niejako i uosabia lud cały, bo lud słaby jest, a oni potężni — lecz jeżeli lud pojmie ich stanie się najpotężniejszym.

Genjusz — to wielkie słowo warte jest rozważenia — bo nie jest że ono tém samém, co czysty duch, co nieśmiertelność? a więc życie jego, prawa jego nie sąż te same co prawa ducha? — Zhańbiłbym bez wątpienia imie to, gdybym je dał człowiekowi, co się nauczył wszystkich dawno nauczanych myśli, téj mumi starożytności, ubranéj z całym przepychem wieku w którym żyła; — próżna pycha: za ledwo w twarz zajrzysz, poznasz że to trup — niéma w nim życia mądrości. Ani to genjusz, w którym krew żywiej pędzi namiętności gwałtowniejsze i wszystko wokoło sprzyja, więc się wyniósł nad innych, a jeśli mu się co oparło, upadł — lub jak rozpieszczone dziecko umiał tylko narzekać nad niedolą swoją. — O! i między potężnemi ciałem, władzą oręża, nie znalazłem może i nie znajdę genjusza. Genjusz jest to serce świata — wyléwa krew z siebie, aby nią

nakarmić ludzkość całą— dusza jego tak potężna, że nią objął całą przeszłość, zważył teraźniejszość, a przyszłość przeczuć zdołał— miłością przewyższył świat i ukochał go jak dziecko słabe, ale wielkie nadzieje ze swym wzrostem wróżące;— myśl jego jak myśl orła wzniosła się nad lot poziomych ptaków— wzbila się w niebiosa tak wysoko— że wszystko ziemskie zostało w oczach jej nakształt drobnych robaków, pełzających bez celu i siły— i całe massy takich robaków widzi z góry i chce napelnić mocą swoją, poruszyć mądrością. Cała ludzkość wiecznie ogrzewa na łonie swoim, i jeśli będzie potrzeba za nią krew swą poświęci, widzieć szczęście swych braci, widzieć potęgę ich duszy, być od nich ukochanym, wyprzeć się dla nich samego siebie, niemiżyć, stać się dla nich gwiazdą przewodniczącą w labiryncie myśli, przykładem w czynach— i umierając słyszeć chwałę swoją nie w ustach stu, tysiąca ludzi— ale w głosie własnego sumienia, *umierając cieszyć się że umiera za prawdę*— widzieć przed sobą przyszłość tych, za których się poświęcił— widzieć

w dali jak go pojmą niegdyś, i będą żyć myślami jego, i powtórzą go w pieśniach swoich, i nauczą dzieci wymawiać imię jego razem z imieniem ojca i matki — i stać się słowem czarodziejskiem na którego wspomnienie raduje się duch ludzkości— i po śmierci widzieć chwałę swoją patrząc na szczęśliwe owoce prac w życiu dokonanych— Oto jest myśl genjusza!  
*oto genjusz!*

I któż się niecieszy gdy wspomni, że byli ludzie, co się chcieli stać podobnemi — co pojęli naród swój, i służyli mu, i stali się dla niego *Bóstwem drugim*. I któż nieuwielbi Stwórcy gdy wspomni, że byli tacy nawet co ukochali świat cały, a życiem i śmiercią miłość tę stwierdzili! Są to cuda ducha— choć wcielony w ziemię wyrwał się z niej i całe życie jego było niezależne od niej!

Odkryjmy karty świata—przeczytajmy choć jeden wiek życia staréj ziemi—wiecznie duch stwórcy opiekował się nią — wiecznie obudzał ludzi żeby przecie wydali z łona swego choćby jednego prawdziwego człowieka, któryby wyprowadził całe tłumy z ciemnoty i

upodlenia, i usposabiał do przyjęcia jeszcze wyższej mądrości. Ludzie tacy byli szczęśliwými nadrzędziemi Twórcy do spełnienia jak pismo mówi: wielkich dzieł miłosierdzia, aby widziano jak Pan jest potężnym i hołd mu złożono.— Byli to jakby prorocy swego narodu, przewodniczące gwiazdy swego wieku— nieraz niepojęte — zawsze nieszczęśliwe! Staje mi przed oczami ów potężny *Solon*, ten, że tak powiem, mózg Aten co im świecił za życia i po śmierci — ten wielki Mojżesz, zdolający upodlony lud swój dzwignąć i zniewolniczałe serce jego podnieść ku myślom swobody;— genjuszów podobnych wiele było, imiona ich wspomina naród, któremu swe życie poświęcili. Bo chwała takiemu mężowi co widział czystém okiem szczęście swego ludu:—jako Cyrus, wracający wygnańców do ziemi swojej — jak ów Rzymianin, palący swą rękę dla chwały Rzymu — jak Kodrus, jak Brutus, jak Kato umierający z wypogodzoném okiem z wiarą w nieśmiertelność! Lecz jeśli był zaślepiony żądzą łupu, sławy — czyny jego zapisane złotem w dziejach współziomków,



krwawo są wyryte w historii ludzkości, jak chwala Cezara, Alexandra Wgo, Mahometa, Napoleona — są to komety wieków konieczne dla życia świata, obudzające go elektrycznością czynów swoich ze starych błędów i ospalstwa — ale straszne w chwili swego przejścia.

### VIII.

Lecz są genjusze całej ludzkości — słońca świata duchownego, których oko patrzyło nie na jeden naród, ale na świat cały, a serce kochało nie ludzi tysiące, ale ludzkość całą. Taki genjusz ilekroć stawał, radował się duch świata — dusza jego przéjrzała się w nim — Stwórca wlał w nich serce kochające i od téj chwili stali się sercem świata! Jak czuła matka ochrania dziecko od przypadku, jak troskliwy lekarz natęży myśl swą aby uleczyć cierpiącego — tak oni świat ochraniali i leczyli z upadających błędów. — Miłość! — oto ich dusza; ludzkość! — oto jedyna myśl ich. Gdzie twój skarb, tam twoje serce mówi Pismo — to też oni za skarb swój siebie oddali i ży-

cie nieraz poświęcili. Oni to pokazali jak niczém jest wszystko przed iskrą czystej miłości — jak kochając żyjemy życiem tego cośmy ukochali. Tu mi stają przed oczami dobroczyńce rodzaju ludzkiego, którzy za życia byli męczennikami świata, a po skonie jego życiem.

Sokrates — imie potężne! Cały duch ludzkości w czasach pogaństwa jeśli mógł wydać co najwyższego, jego wydał. Przez jego życie przegląda całe sumienie ówczesnego świata — był to głos Boży mówiący do pogan, głos potężny męczennika ludzkości. Filozofowie Grecji w pomysłach swoich pojęli wiele promieni Bóstwa, ale zdaje się, że każdy z nich był tą cząstką oślepiiony — i możeby niepojęli, lub nie wierzyli pojmując gdyby Sokrates nie był za nią umarł piérwój z taką spokojnością; śmierć jego zdawa się być w ich oczach wielkim zakładem wiary w prawdziwość tego za co umarł. Sokrates uczuł, że całe pogaństwo ślepe jest, że niewidzi Stwórcy, który tak dobitnie napisany jest w całej naturze, że z listka zgadłbyś o jego bytności — a odkąd

to uczuł wierzył, że jest Apostołem prawdy i swoje poselstwo stwierdził życiem i śmiercią — Spokojny w swęj duszy z pogodném czołem czekał rychło słońce wskaże chwilę ostatnią, i żegnał je z taką pewnością jakby nazajutrz miał je raz drugi zobaczyć. Uczniowie stali wokoło — jeden plakał więcej i krył głowę swoją na łonie mędrca — mędrzec w łzach ucznia przypomniał całą ludzkość cierpiącą i jeszcze raz ognistą swą duszę przelał w słowa: „Ja nie umieram — ja wracam do Stwórcy *którego jestem częstką* — i czegoż płaczecie — to słońce co dla mnie zachodzi jest jutrznią życia drugiego: — tak — jest drugie życie — ja spokojnie umieram” — I spełnił czasę śmierci wesoło jakby nektar życia. Kiedy wspominam sobie, że cała Greeja patrzyła na śmierć jego i ledwo w tyle wieków zaczęła wyznawać jednego Boga — dziwię się — prawie gardzę Grecją. Prawda to święta, że współcześni niewierzą mężóm wielkiego ducha — że prorocy w swoim kraju nie są cierpiani — Grecji trzeba było krwi Sokratesa — tej Grecji co się wiecznie szczyciła mądrością trzeba

było spełnić dzieło bez rozumu i szaleństwa.

Staął wręście Chrystus— Bóg-Cłowiek!— On, który tak ukochał świat jak żaden przed nim ani po nim — On, który widział przyszłość prac swoich — nauczyciel pokoju, miłości — cudowny dziełami wiary, niezwykniężony siłą słowa — Mistrz nauki czystej — który jak sam mówił, nie przyszedł niszczyć ale naprawiać — nie zatracać ale zbłąkanych na drogę naprowadzać — i On krwią swoją stwierdził świętość posłannictwa — i co za dziwy ducha konając modlił się za prześladowców: „Oni niewiedzą co czynią — Panie! odpuść im!” Słowa najwyższe jakie tylko zabrzmieć mogły w ustach śmiertelnych! W tych słowach wydał całą myśl ducha Bożego, którego niepojęto, a który chciał tylko szczęścia świata, a nie swój wielkości — w nich pokazał jedyną drogę mądrości i wzniesienia się dla wszystkich którzy kiedykolwiek zechcą imię swoje zapisać w szeregu dobroczyńców rodu ludzkiego.

Uderz człowiecze czołem przed takim Człowiekiem — Bogiem! ty i tłumy podobnych tobie szczęśliwe są gdy mają tyle lub trochę

więcej co zwierzętom potrzeba: jamy do snu, pokarmu do życia—dnia i nocy — szczęśliwe jeśli okiem myśli nigdy niezajrzą dalej jak oko ich ciała widzi. A oto najwyższy człek na ziemi niéma jamy gdzieby spoczął, choć w duszy zmieścił całe niebo i ziemię i dusza jeszcze wolna połknęłaby drugie tyle. Nieszczęścia ziemskie dla niego jak jesienne wichry dla wędrownego ptaka— ani je czuje, bo jutro odleci w lepsze strony gdzie niéma jesieni i wichrów. Poziomi bracia jego troszczą się o jutro, bo czują całą niedoleżność sił własnych co ich wczoraj zwiody i jutro zwiesić mogą. A jeśli mogą jak bydle wypaść się i ogrzewać trzewa pod płonącym słońcem—szczęśliwi są, głupio szczęśliwi, jak zwierze skaczące po ziołach i urwiskach mającego wnet wybuchnąć wulkan. Głupie czaszki! przez które wiecznie wieją wiatry czczych marzeń, szum dumy i nieustający hałas łechcącój bez końca miłości własnej, samolubstwa — a nigdy nieprzebiegnie głos prawdy, i ten promień palący potężnej myśli co niesie duszę w sumienie, w łono Boga— nędzne czaszki! chwila wasza

ostatnia jest męczarnią najwyższą — męczarnią materji przechodzącej do swego początku—nicości; bez żadnej pociechy ducha szczęśliwego, że się wyrwa z pętów ciała — biędne czaszki! w chwili ostatniej staną przed wami tylko błędne mary nieśmiertelności — a nigdy nieśmiertelność jasna, Boska — pociecha genjuszów— i będziecie wołać wiary w nią; a na miejscu wiary stanie tylko niepewność i trwoga, boście nigdy dawniej nie bratali z nią duszy swojej — A oto Chrystus, oto jego naśladowce genjusze ludzkości umierają z twarzą wypogodzoną — oto męczennicy prawdy wstępują z odwagą nie dumy ludzkiej— ciała, lecz dumy ducha wzniesionego ku mieszkaniu przyszłemu— nieśmiertelności, na stos męczarni. Jak niesłusznie historja wieków nazwała chwilę ich ostatnią męczarnią— w ich twarzach była wesołość— twarze tylko, a pod niemi dusze widzów, męczyły się— było to raczej najwyższe natężenie ducha, który w chwili śmierci materjalnej swojej powłoki przegląda jaśniej i rzuca wokoło takie promienie, że je oko czle-

ka żyjącego życiem pospolitém, a więc ślepe, nieuczuje.

To są genjusze ludzkości — to są owe dusze nieustraszone, wierzące w nieśmiertelność nie wiarą dziecka, ale wiarą męża co się przejrzał i zanurzył w łonie ducha. Imiona ich wspominają na świecie o tyle tylko, ile wpłynęły na los materialny świata, nie dziw więc że niektóre zupełnie dla nas zginęły — lecz niezginęły dla ludzkości i zapisane są na kartach jej dziejów, które Bóg tylko zupełnie pojmuje — i on tylko kiedyś wytłómaczyć zdoła.

Obrazy takich genjuszów wystarczą aż nadto do pokazania tej władzy jaką ma duch nad Fatalizmem; oni to bowiem wzgardzili przeznaczeniem ciała, przekonani, że to życie jego ziemskie jest nędzną kroplą w oceanie ducha. Oni to uczuli, że przeznaczenie jest jak przepaść najeżona skałami, rzucona na drodze po której przebywać muszą — że tylko duch potężny natchnie siłą do przedarcia się przez jej urwiska; że tylko duch potężny będzie jak owi Aniołowie, bronić aby noga cnotliwego niezawadziła o kamień.

Tak jest — dzieła ducha są najpotężniejsze — bo ciągle, pewne, nawet tam gdzie je nieraz niepostrzegamy, ruch jego i popęd nie jest jak w dziełach ciała wiecznie obracającym się — ale postępowym — nie jest to owe zaczarowane koło natury, któremu początku ni końca naznaczyć nie można, lecz jest to łańcuch, którego ostatnie ogniwa wiążą ludzkość z nieśmiertelnością.

Jeśli więc tak jest i któż niepowie: — myślę i działam według praw ducha — działam, postępuję, walczę: bo niejestem jak owa hydra morska oddana na wolę fali, bezsilna zatrzymać się i ujrzeć gdzie jest — Ja jestem duchem, idę do kraju wieczności — płynę po tych falach co już tyłu pożarły co i na mnie się srożą — lecz się nielekam bom zarzucił kotwicę na samém dnie nieśmiertelności — Przed sobą widzę port niebieski — i śmieję się z Fatalizmu.





V.

**Szkic Filozofji Greckiej.**

Wydawnictwo Uniwersyteckiego Centrum Wydawniczego



## V.

## Szkic Filozofji Greckiej.



**J**EST powszechnie przyjętą opinią na-  
 przód od uczonych XVIII wieku, a  
 potem od tłumu naśladowczych mózgów: że  
 w naukach tylko dotykalna prawda powinna  
 mieć swoją wartość—dla tej to przyczyny ro-

zum nasz tak się stał zimnym, nie mówiącym do duszy, szkieletem mądrości. Przecież jedną z funkcij ważnych naszej głowy jest wyobraźnia—ten popęd myślenia w rzeczach, o których dotknięciem przekonać się nie możemy — wyobraźnia śmiało porównać się mogąca z okrętem, najniespokojniejszy żywioł zuchwałą piersią przerzynającym, gdy tymczasem rachunkowy nasz rozum najpodobniejszy jest do powozu na kołach, lubiącego równe tylko drogi — my jednakże, jako najzarozumialsi a razem najleniwszi, lubiemy w tym wygodnym powozie przedzierać się po ziemi i pełzać—ledwo odważniejszy z nas w przepaść zajrzy i po urwiskach nauk drzeć się zechce—każden, zaledwo się odkryje ocean oczóm, założy ręce i patrzy okiem ciemnego człowieka—i czemuż wówczas nie rzucić się wyobraźnią na ten burzliwy żywioł myśli nadziemskich? Poco wicznie wierzyć matematyce i chcieć ją zastosować tam, gdzie jej noga nie postanie nigdy. Świat dla nas i my nawzajem dla świata, równie jak sami dla siebie, wieczną jesteśmy zagadką—zagadką odkrywaną i do-

wodzoną tyle wieków, lecz nigdy nie dowiedzioną, lub tyle tylko, o ile skrzydła rozognionej wyobraźni, przypuszczeń i domysłów, jak mówią matematycy, zbliżyły nas do niej— a przecież gdyby nie one, i tego byśmy nie wiedzieli co wiemy.

Napróżno kazać człowiekowi by myślał o tém tylko, co jest pewnem, niezawodnem — umysł nasz nie lubi kajdan, śmieje się z prawd, które mu ktoś narzuci. Pojąć wszystko—władać nad wszystkiém duszą, oto jest najwyższe szczęście człowieka,— lecz władzy téj nie zawsze dosięgnięciem idąc, nieraz lotu użyć potrzeba, bo nie wszystko, po co sięgamy, leży na ziemi— Taką właśnie jest natura; będzie ona zawsze treścią ciemną, zawikłaną dla rozumu, ale kiedy pozwolimy wyobraźni pomagać rozumowi, tę genialną zagadkę genialnie rozwiążemy.

Byli już ludzie czujący tę prawdę, niedbający, że wiele języków społecznych, a nawet potomnych, zechce kaleczyć sławę ich umysłu za to, iż śmieli w naukach, jak mówią, rozumnych, robić przypuszczenia, gdzie tylko wrząca panuje wyobraźnia. Istne to jaszczurki peł-

znące po kwiatach, które dla tego że piękne, jadłem swoim zatrąły. Każdy podobno wiek miał takich mądrych wysmiewaczy wszystkiego, nad czém duch pracował, tych zimnych rachunkowych krytyków, którzy litują się nad błędami płonącej wyobraźni i udają żalność nad przyszłym losem nauk, do których, jak mówią, fantazje już się wmięszwały.— „I wszystkich kaleczą i sądzą że wszystkich leczą” — słowa te jednego z greckich tragiczków powinneby być wyryte na czołach podobnych mędrców — a przecież dziwna rzecz, mądrość, która powinna by dotąd zniknąć bez śladu nawet po sobie, od czasu jak krzyczęć zaczęto na jej fałszywy kierunek, idzie jednak, żyje pośród nas i zapełnia tę czezość, któraby opanowała pewno krainę ducha, gdybyśmy tylko zimnemu wierzyli rozumowi. Starożytność iest wielkim dowodem tego, co mówię — mędracy jej, te głowy łyse, pomarszczone, karmiące się życie całe pracowitem rozmyślaniem, napełnione są jednak całym ogniem poezji; — oni naprzód latali po tém bezdenném niebie myśli, w którym wszystko jest złudzeniem, gdzie kotwicę nikt po-

dobno na gruncie stałym zarzucić nie zdoła. O gdyby któren z nich mógł powiedzieć na przekór matematykowi Syrakuzy: mam punkt stały na niebie!— Starożytni, jak mówię, znali się od dawna z marzeniami systemat świata tłumaczącemi, i dziwna rzecz, marzenia ich wyśmiewane niegdyś przez Lucjana, dzisiaj służą nie jednej teorji za podstawę.

Thales z Miletu był jednym z pierwszych, którzy się przedrzeć pragnęli w cienie natury;— nauka jego w tej treści, jak wszystkich zaczynających myśleć, jest najprostszą, najogólniejszą, i wiecznie opartą na mistycyzmie, tém piętnie wszystkich mędrców Grecji, a może w ogóle całego wschodu. Thales przyjmuje *materjā*, z której wszystko stworzone zostało i *Boga*, który wszystko stworzył. Całą poezję filozoficzną, jaką potem Plato wyrobił, on zapowiedział;— jak Plato wszystkiemu, co tylko własny ma ruch, przypisuje duszę. (*demon.*) Tym sposobem świat cały jest pełen Demonów— jest ożywiony— ma odrębną duszę, będącą częstką ogólnej duszy stworzenia; (*universum*); on pierwszy tym sposobem

dał wyobrażenie Grekóm o wielkim i małym świecie (*macro i microcosmos*). Za pierwiastkową przyczynę wszystkiego uważa wodę; Bogu przypisuje siłę myślenia i działania. Te zasady nauki Thalesa były na ciemny stan umysłów obecnej Grecji wygórowanym spirytualizmem; przypuszczając bowiem Bóstwo, duszę świata i duszę pojedynczych twórców, nie obciążał umysłu smutnymi myślami nicestwa, jakie późniejsi upowszechniali mędrce. Zresztą nauka Thalesa co do powstania świata nie zaspokaja nas wcale — jest on na granicy pojęcia zanadto wielkiej prawdy — Nieśmiertelności, żeby pod nią nie upadł; lecz już zapowiada Sokratesa i Platona. Wywinięte myśli z zasad jego pocieszyć nas mogą. — Bóstwo bowiem ma preexystencją nad materją — jest nieskończone, a swoją potęgą wywiodło z wody, z ogromnego oceanu, tego chaosu Thalesa — świat, i każdej cząstce jego wetchnęło życie i duszę.

Pitagoras *szalencie jakich u nas pełno* zbadał także jak powiadają mądrość; kazał bowiem naprzód uczyć się milczyć — potem mu-



zyki — potem matematyki, i tą potrójną drogą miał trafić do celu marzcnego — do zbadania mądrości. Bóg według niego jest liczbą, i liczby wyobrażają porządek tego świata — pomiędzy niemi trwa wieczna harmonja — też liczby wyobrażają pierworodną materję. Dwojka (*Dyas*) jest Symbolum nieoznaczonej materji. Jedność (*Monas*) jest oznaczoną, jest to liczba siły kształcącej, przez jej połączenie z pierwszą powstaje oznaczona liczba Trzy, liczba świata uorganizowanego, stanowiąca stosunek jedności do dwóch, czyli co jedno jest materji martwej do siły ożywiającej. Liczba Cztery jest najdoskonalszą, bo z dodania jej do trzech poprzedzających powstaje dziesięć; Tetraktys zatem (cztery) była wyrazem duszy. Liczba Siedem była doskonałą i nazywała się dziewicą albo Palladą, bo z niej nie pochodzi żadna z liczb pierwszej dekady. Liczba Dziesięć jako wypełnienie pierwszej dekady była także uroczystą. Ciepło jest według Pitagoresa głównym pierwiastkiem życia; — dusza jest wyziewem duszy powszechniej, duszy świata, której siedlisko jest w Eterze, — dwoistą

jest ona: rozumna w mózgu, i nierozumna, mieszkająca w sercu; dusza rozdziela się na krople zmysłów.

Ponieważ wszystko co istnieje jest jednością w obliczu tego, który jest nieskończonością, żeby więc nieskończoność mogła się objawić, objawiła się pojedynczemi jednościami, które, jako cząstki nieskończoności, mają pojęcie o niej i są nieskończonemi jak ich pierwszy początek—oto jest pierwszy jako tako dowiedziony pierwiastek nieśmiertelności. Że zaś wszystko co czuje swoją jedność, swoje *Ja*, jak mówią, dzisiaj jest równie człowiekiem jak zwierzęciem; ztąd Pitagoras musi przypuścić że nie tylko przez ludzi, ale i przez zwierzęta objawiło się Bóstwo, czyli co jedno jest, że i one należą do systematu nieśmiertelności. Śmierć jednak zabiera codzien te jednostki nieśmiertelne—aby zatem nie zwalić systematu swych myśli, Pitagoras musiał przypuścić, że jedności przepadać nie mogą—bo inaczej nieskończoność, straciwszy choćby jedną takową jedność, przestałaby być nieskończonością—otoż początek jego ukochanej nauce Metempsychozie.

Systemat świata żeby nie zerdzawiał na swoich kołach, musiał mieć ruch jakiś, ten ruch w jednościach żyjących wyzewnętrzał się życiem i śmiercią—życie więc i śmierć tym sposobem nie stanowiły dwóch ostatecznych punktów jednego istnienia, lecz należały do dwóch istnień; śmierć — było to już istnienie drugie ale zawsze na tym świecie;— dusze ludzi musiały przechodzić w zwierzęta, i to jest bez wątpienia przyczyna, dla której Pytagoras zwolennikóm wzbrowił mięsa, żeby czasem nie zjedli zwierze, w które przeszła dusza ojca lub przyjaciela.

Cóż powiemy o tych mądrych marzeniach! przecież nikt nie nazwie mędrca greckiego szaleńcem. Tak to jest los nieszczęśliwy człowieka, że wszystkiego dotknąć nie zdoła — dla wielu rzeczy zostaje mu rozumowanie, dla wielu przypuszczenie tylko — dla innych ledwo senne marzenie — zdaje się że tym sposobem Stwórca chciał przekonać ludzi o ich nieśmiertelności—jakby mówiąc: za drugą stroną grobu, dotkniecie tego, o czém dziś ledwo domyślać się możecie. Lecz wyprzedzić czas co

sam zrobi mądrym człowieka jestże złe? — musiał zapewno Pytagoras zadawać sobie to pytanie, nim się rzucił w krainę mądrych marzeń. Dla niego świat był ożywionym — systemat jego był w wiecznym, porządnym ruchu, a dusze zaklęte ręką Przedwiecznego, po śmierci musiały odbyć wędrówkę przez wiele wieków po tejże ziemi, na której w ciele ludzkim działały. Co za mądra nauka o czyscu! W istocie cóż naturalniejszego, cóż sprawiedliwszego jak na miejscu występku odebrać karę? jak widzieć siebie w stanie zupełnie przeciwnym temu, w jakim znajdowaliśmy się za życia? Co więcej, przez taką Metempsychozę można pogodzić teologów z zimnemi filozofami natury, którym nie podoba się wyłączna nieśmiertelność człowieka — którzy krzywdę widzą w nicestwie zwierząt, przyjętém przez pierwszych — można bowiem wówczas powiedzieć, że królestwo zwierząt jest ogromnym czyscem chrześcian, gdzie każde indywiduum jest nicestwem, skoro z niego wyjdzie dusza, więziona według wyroków Przedwiecznego — zwierzęta albowiem w ścisłym rozumieniu Metempsycho-

sy, są narzędziami kary większej lub mniejszej dla ludzi, z których żaden nie jest tak czystym, aby po zgonie mógł się bez niej obejść.

Obaczmy teraz wyraźne sprzeciwieństwo z Pytagoresem; przypatrzmy się temu Iysemu, śmiejącemu się mędrcom, w którego śmiechu samym już jest szyderstwo, i ten wewnętrzny smutek rachującego mędrca, pragnącego prawdy dotykanej, który się wreście przekonał, że jej niedostanie i serce ma pełne boleścią — ale razem duszę mocną, pełną rezygnacji, zdającą się mówić: najnieszczęśliwszy jestem, ale śmieję się z moich nieszczęść — oto mówię przed nami *Demokryt*. — Demokryt tak szydził ze wszystkiego, że jego współobywatele, sądząc iż to musi być skutkiem choroby, posłali po Hypokratesa, ubolewając iż taki mędrzec nie powinien przed czasem ginąć dla ludzkości — Hypokrates, mówią, uwielbiał za ten czyn Abderytów, wynurzył nawet publiczne dziękczynienia narodowi, który tak jest dbałym o zdrowie mędrców swoich — zdaje się jednak że pojął pocziwy lekarz stan duszy mędrca, bo od-tąd został jego przyjacielem.

Demokryt szyderstwo i jakiś rodzaj pogardy rozciągnął aż do systematu świata, w którym nic więcej widzieć nie chce, jak *przestrzeń i atomy*. Według niego wszystko, co tylko istnieje, jest zbiorem niezliczonych atomów, które siłą wzajemnego przyciągania skupiły się i stworzyły całość. Rozwijając ten systemat tyle, ile tylko być może, ile go rozwinęli niektórzy dzisiejsi marzyciele, będziemy mogli powiedzieć: Stwórca musiał stworzyć atomy i rzucić je w cześć—był to niezawodnie pierwszy nieokrzesany stan natury przed stworzeniem świata—chaos Greków. Kształt tych atomów musiał być rozliczny, a między niemi zachodziło naturalne pociąganie się, jakieś powinowactwo, wręście względny stosunek, przez który mogły atomy z atomami łączyć się lub nawzajem odpychać—a ztąd po lat ubiegu musiały poksztalcić się światy i wszystko co je zaludnia. Demokryt w samej mądrości zdaje się szydzić ze świata, widząc pierwiastek jego tak nędzny.—Szyderstwo to posunął jeszcze dalej zagłębiając się w krainie ducha.—Cnota i występki, namiętności, żądze—wszystko to jest ru-

chem atomów, wszystko to wypadek naszej organizacji, a nie duszy. Cóż smutniejszego jak ta mądrość Demokryta, wykrywająca nam że jesteśmy przypadkowym tworem, a najdroższy skarb nasz, dusza myśląca, jest tylko wypadkiem ciała, jest to ono same—a nasz zapal młodości jest to gwałtowniejszy ruch atomów—a nasza starość bez namiętności jest to ich odrętwiałość, ich niezdolność do dalszego ruchu, przypominając chwilę całkowitego spoczynku—śmierci, z której dla duszy naszej nic korzyści, nic nadziei nie zostanie—bo atomy nasze zapewno inne stworzenie przyswoi i we własne jestestwo wcieli. Oto jest prawdziwy materjalizm filozofji! kto chce nim żyć, niechaj wmówi w siebie wiarę o nim. Gdyby nie druga część nauki Demokryta, tłumacząca duszę, wierzyłbym w pierwszą, bo początek ziemi zdaje się najlepiej możnaby nauką o atomach wytłómaczyć.

Cóż powiemy o *Heraklicie*—melancholjago dręczy, wszystko pokryte dla niego barwą chmury, wszystko smutne. Heraklit zdaje się mówić: dla mnie światy niepojętością są—ta

piękna machina przeraża mię swoim ogromem; nie z niej nie dojdę, chcę więc ze skutków sądzić o przyczynach. Heraklit widzi tylko na świecie wieczny, konwulsyjny ruch, dla niego wszystko zdaje się ogromnym, wzburzonym oceanem, na którym fala goni za falą, aż nadbiegnie nowa i przykryje i zatraci obie. Natura cierpi konwulsje—spoczynek bowiem jest tylko stanem naturalnym; i wszystkie razem systematy światów są w tym stanie błogim, ale dla utrzymania jego potrzeba ruchu cząstek; szczęście więc całego ogromu karmi się niedolą indywiduów, które im drobniejsze, tém więcej cierpią. Człowiek na nieszczęście jest światem małym, ma pojęcie wszystkiego, nad nim zatem Heraklit najboleśniej sze treny rozvodzi.— „W świecie nad człowiekiem nic nie panuje, tylko wieczna zmiana!” — straszliwa myśl mędrca Greckiego — deptemy groby naszych naddziadów, a po naszych przyszłe pokolenia deptać będą. Dla czegoż ten ogrom natury obojętnym jest dla nas? dla czego tyle pokoleń ludzkich przemięło jak powiew wiatru, a ziemi nie przybył



ani jeden zmarszczek starości, lub tych cierpień, które nieraz starość wyprzedzają i jak starość bruzdują głowę cierpieniem? Dla czegoż, kiedy *massy* ludów wołają: szczęścia! szczęścia! natura grób im tylko pokazuje! — Heraklit tłómaczy nam to: cóż znaczy człowiek, nędzne indywiduum, w tak ogromnym systemacie jak jest świata? i maż mistrz, co zbudował taką machinę, ubolewać nad tém, że przez jej obrót zęby kół ocierają się, męczą, że wreście na miejscu zużytych, wyrzuciwszy niezdadne, nowe wstawić trzeba? Heraklit mówi, że smutek i szczęście, cnota i zbrodnia, i wszystko, co tylko porusza duszę, to przypadkowe kwiaty i przypadkowe kolce po drodze twego życia — zbieraj co chcesz, dano ci potęgę myślenia, myśl więc i marz jak ci się podoba — wmów w siebie szczęście jeśli możesz — zapomnij o swym końcu jeśli zdołasz — lecz wiedz że jesteś punktem tylko w kręgu światów, a małym kółkiem w systemacie téj ziemi, którego obrót skończy się niezostawując po sobie nic!

*Empedokles* był podziwem Grecji; — do potęgi nauki Pytagoresa, którego był uczniem,

dołączył siłę ducha i abstrakcje widziadeł godnych proroka. On to miał nakształt Eliasza wskrzesić umarłą niewiastę, on to zyskał na zwisko powściągającego burze (*alexánemos*) kiedy śmiertelność w czasie panującego Sirocco nagle uśmierzył, zawaliwszy jedną szczylinę gór, przez którą wiater wpadał. On to przez tajemnicze słowa i okurzania ratował ludzi w czasie, gdy Bogowie skarali Grecję zaćmieniem słońca i morową zarazą. Człowiek nadzwyczajny, zagłębiany całkiem w marzeniach południowej wyobraźni, ognistej i ślepej, jakże mógł być śmiało nazwany prorokiem, gdyby do uniesień takiej duszy dołączyły się pojęcia Jehowy. Grecja szczyliła się sławą jego; jeszcze za życia wzniesiono mu pomnik jak Bóstwu opiekuńczemu; sama jego śmierć, niepewna w oczach przesądnego ludu, robiła go człowiekiem nadziejskim; jak mówiono bowiem, głowa Empedoklesa wszystko ogarnęła, nie było taini w naturze, którejby niez badał, przepelniony rozumem, miał więc zbrzydzić sobie życie i rzucał się w krater Etny.

Treść jego nauki opartą była na mądrości Pytagorejskiej, równie pełna uniesień, jak jego życie. *Przyjaźń* i *Walka*, oto były pierwsze przyczyny powstania świata. Materja, z której wszystko powstało, odwieczną jest; żywioły dążą do siebie, łączą się i kształcą całość, lub walczą z sobą, nienawidzą się i odpychają, a tym sposobem znowu do dawnego bytu nicości duchownej wracają. Pierwiastków podobnych (*Enentiosa*) liczono w Pytagorejskiej szkole dziesięć (Nicość: Nieśmiertelność — Równość: Nierówność — Jedność: Wielość — Prawo: Lewo — Męskość: Żenskość — Spokojność: Ruch — Prostość: Krzywosc — Światłość: Ciemność — Dobrze: Złe — Kwadrat: Trapez) które Empedokles do czterech ściągnął: Gorąco: Zimno — Suchość: Wilgoć. Pierwiastki te według Empedoklesa niezmiennie są, mieszając się zaś wzajemnie, kształcą ciała. Zajrzawszy jednak w samo serce tej jego nauki, zasmucić się musim widząc jak straszliwe wypływają z niej następstwa. Oto duch jego filozofji. Pierwiastki wszystkiego bez początku są — odwieczne — odpychać się

lub dążyć do związku, oto ich pierwsze prawo, lecz prawo nienadane od nikogo, jednocześnie z samemiż urodzone pierwiastkami; — Prawo więc kształcenia się wszystkiego jest przypadkowe — nie było zatem prawdziwego chaosu nigdy, lub też istnieje ciągle i istnieć będzie; od samego bowiem początku formacji świata, części jego wiązały się z sobą w nowe całości, lub się na próch dawnego nicestwa rozpadały. Dzisiaj pierwiastki te zbiegły się z sobą i zadziwiającą piękność miliona świecących światów złożyły, dziś dziwiemy się nad nimi i nad sobą małemi światami — a jutro toż same pierwsze prawo materji: walka, nienawiść pierwiastków wszystko rozerwie i w pierworodny rzuci chaos, z którego znowu lata, wieczność wieków wywoła nowe kształty, ułoży w piękną harmonję życia, by na nowo w nicosć obalić. Ludzie! — oni w ogromnej pracowni natury są cząstkami jęj, kształtami, z wypadku prawa przyjaźni powstałemi, prawa tak potężnego a niestałego jak drugie mu przeciwne. O nieśmiertelności, o naszym *Ja*, niemającym przepaść nigdy, niema nawet wzmianki.

Ogrom materialnego świata pochłonął myśl mędrca, gwiazda naszej nieśmiertelności zagaśła w tym ciemnym chaosie, z którego widzi jak wywołane życie codzien niszczy, niezostawując śladu. I cóż dziwnego, że Empedokles rzucił się w łono Etny kiedy stracił całą ponętę życia, wynikającą z wiary w nieśmiertelność! *Anaxagoras* z Klazomeny, współczesny Empedoklesa, podobnie jak inni przed i po nim filozofowie, budował systemat więcej materializmowi sprzyjający, jak wyobrażenióm duchownym; dla tego i on mówi przed wszystkimi: — „z niczego nic tylko być może” — Przypuszcza więc chaos — materję pierwotną, tém jednak się różni, że wyobraża ją pod postacią najdrobniejszych punktów, nienających przed naszymi zmysłami, które od wieków leżały martwe, aż wstąpił w nie Duch Boży wszystko przenikający, który je ułożył w porządną całość. Systemat jego Homojomerjów, podobny do systematu Demokryta Atomów, szlachetniejszym jest w sobie — życie bowiem świata nie jest tu wypadkiem ruchu atomów, ale wyższego nad materję *Ducha Bożego*, który

wszystko mocen jest ożywić. Takim to sposobem do czasów wojny Peloponezkiej kształcił się umysł greków, podpierany mądrością filozofów, których nauka była więcej siłą polityczną, aniżeli bogactwem osobistém — Tym sposobem powstały rozliczne szkoły, będące wyłącznemi stronnictwami, których członkowie wicherzyli spokojnością publiczną; szkoły te wywarły potężny wpływ na Grecją, lecz niemniej działały wzajemnie na siebie — stąd owa zobopólna nienawiść niektórych, stąd śmierć nieszczęśliwa Sokratesa, pierwszego mędrca, który zarzuciwszy spory w treści, gdzie tylko przypuszczenia tworzyć można, rzucił się na drogę filozofji praktycznej, moralnej, z której jednej tylko podobno ludzkość korzystać może.

*Sokrates* równie na szczycie najwyższości postawił filozofję, jak inni mężowie starożytności nauki i sztuki, nad którymi pracowali. Wtedy to Thucidides podał pierwszy wzór mistrzowskiego pióra w napisanych dziejach Peloponezkiej wojny; Phidias, Poliktet, Parrchazius wygórowali w sztukach pięknych i uroczą na-

ture Grecji wzbogacili dziełami ręki genjalnej— Arystophanes, Euripides, w czystym Ionskim dyalekcie zachwycali dziełami dramatyicznymi. Był to więc czas południa dla kwitnącej Grecji, której jeszcze tylko potrzeba było mistrza mądrości, coby rozumowi Greków nadał piętno chwały i cnoty, któryby odkrył słońce promieniste, nadające nowy wdzięk twóróm genjuszów — słońce nieśmiertelności; któryby wreszcie przekonał o prawdzie swego ducha, o czystości zamiarów dowodami najwyższymi — wytrwałą cierpliwością i spokojną śmiercią; i takiego człowieka miała Grecja w Sokratesie! — Znajoma jest powszechnie śmierć jego i powody do niej — na sędziach niebrakło Grecji — splamiła się krwią niewinną, lecz, jakby przypominając całą swą dawną chwałę, laury obywatelstwa i męczeństwa rzuciła hojnie na głowę martwą, której za życia szanować nie umiała; jakby dla oczyszczenia siebie, przeklęctwem i hańbą napiętnowała oskarżycieli jego — niepomna, że zbrodnia fałszywych oskarżycieli niemniejszą jest pewnie od zbrodni sędziów przedajnych.

Zdaje się jednak, że Stwórca niepuszcza bezkarnie zbrodni narodów—i na Grecję wkrótce kara Jego spadła; zmniejszyła się odtąd siła jej ducha — Nieprzyjaciele stali się groźniejszymi, a wewnątrz gnieździł się potwór niezgody, i czcza mądrość rozumowań bez zasad, sofizmatów, i próżna chęć błyszczenia, ten odwieczny obłok, w którym półgenjusze pokazują się światu by uwodzić blaskiem pozornym. Ledwo Plato i Xenofon z tyłu przywiązanych uczniów Sokratesa zostali dla rozprzestrzenienia jego sławy, dla ratunku cierpiącej na duchu ludzkości. Tylu innych miał niestety zdrajców, tylu odstępców dobrej wiary, że ledwo nieprzyjdzie wierzyć nam w tę straszną myśl— iż ręka fatalnego przeznaczenia ciąży bez końca na biednym świecie— że genjusze są to twory przypadkowe i nieszczęsne, oplacając pierwój czy później szczęściem i życiem błędne jakkolwiek szlachetne zamiary.

Życie jednak *Platona* i jego dzieła przywróciły Grecji tę siłę myślenia, którą już od niejakiego czasu rozumowaniami samolubstwa i sofizmatów splamiono:— „Dusza tylko nasza



istnieje, dusza, cząstka ogólnej duszy świata, Boga, — istnieje czynnie; wszystko zaś zmysłowe jest niepewne.” Oto jest treść jego duchownej exaltacji — On to był pierwszy Sceptyk w roztrząsaniu rzeczy zmysłom podpadających; — niewierzyć widząc, słysząc wahać się czy słyszy, w samej pewności matematycznej jeszcze szukać zarodu niepewności — było charakterystyką szkoły Platona; a nadużycie to, posunięte później w szkole sceptyków, przeszło w chorobę misantropom właściwą, aż wreszcie przyjęte od filozofów nowożytnych stało się czystym szaleństwem i głupstwem nieumiejących myśleć rozprawiaczy. Sceptycyzm jednak Platona był podstawą jego mądrości, był wypadkiem postrzeżen naturalnych i samegoż wyobrażenia ducha, który im szczytniej się wznosi, tém niepewniejszym, nie-trwalszym widzi wszystko ziemskie.

Plato trzy zasadowe daje przyczyny całego stworzenia, to jest: *Stwórcę, obraz, do którego Stwórca wszystko stosował, (forma) i materję, z której stworzył. Bóg jest tym Stwórcą, w sobie niepojętym!* — Pierwsza

materia odarta z wszelkiej własności, bezkształtna, lecz zawierająca sama w sobie pierwsze nasiona miliona ciał, które przed chwilą stworzenia w nieporządnym kłazyły ruchu. Ale Stwórca duszę świata wlał we wszystkie krańce chaosu, i ów ruch nieporządny, natchniony złym duchem świata, ojcem wszelkiej złości i bezrozumu, zamienił się w odwieczny porządek, którego strzegą duchy — syny Boże. Gdyż tam w tych milionach gwiazd, w krainie wiecznego światła, władają doskonale duchy w niezmiennym, bez końca spokoju — duchy nieskazitelnj Boskiej natury, wyobrażenia (*paradigmy, formy*) wszystkich istnień, które z chaosu wywieść są potężne; — wszystkie razem duchy stanowią jedną, Boską całość. Przedwieczny dał im rozkaz działania, i oto spłynęły z odwiecznych siedlisk i powstały: porządek, piękność, dobroć, doskonałość i prawda, tak w krainie ducha,<sup>1</sup> jak i w krainie materji. Przedwieczny stworzył także duchy pośrednie (*daemon*), duchy stworzeń żyjących, — ziemia niemi otoczona, słońce, księżyc, gwiazdy, są ich pełne — widzieć

ich nie można, widzimy tylko twory, w które one wstępują — ich to siłą świat wypełniony roślinami i zwierzęty, ich to siłą odbywają się funkcje naszego życia organicznego. Tak więc dwie mamy dusze: jedną mądrą, boską — drugą nierozumną, cielesnej natury. Pierwsza tylko zdolna jest ulatać ku niebu, zatapiać się w Stwórcy swoim, w krainie światła i prawdy, w błogosławionych mieszkaniach demonów, i żyć się tam pokarmem Boskim — tutaj jest ona w ciele zwierzęcym, jak w kajdanach więzienia, i tylko czeka godziny swego oswobodzenia. Cieleśna zaś dusza nasza w wiecznej walce z pierwszą, sama sobie sprzeczna, raz pożąda, znów nienawidzi; jest to siła naszych namiętności wiecznie wojujących z rozumem.

Wszędzie w mądrości Platona widać ogromny wpływ filozofji *korpuskularnej* na pojęcia transcendentalne. — Dusza, mówi, dla Boskiej swęj natury musi się mieścić w najszlachetniejszej części ciała, a ta jest głowa, której kształt kulisty jest wyobrażeniem doskonałości. — Dusza nasza światłem tylko żyje

i senne tylko marzenia są to poodrywane wspomnienia przeszłości, które do duszy zaniosły promienie światła, przez dzień w źrenice nazbieranego; jednakże Stwórca ześle, gdy zechce, światło przyszłości, a sen będzie wówczas proroctwem. Rozum nasz przymiotem jest duszy Boskiej nie cielesnej. Zmysły, są to więzy, któremi dusza Boska z cielesną się jednoczy. Piersi, serce—siedlisko miłości lub nienawiści, nadziei i odwagi, są mieszkaniem nierozumnej duszy, którą Bóg oddzielił od głowy kościstym przedziałem szyi, aby dusza Boska swobodniej wznosiła się ku przybytkowi nieśmiertelnemu.

Taką jest piękną duchowna teoria Platona, której słaby zarys ledwo pokazać może istotne dążenie;—teorię tę rozszerzył on dalej do życia moralnego i fizycznego. Tak to prawdziwy genjusz zdolny jest tysiące rozsypanych wyobrażeń, które pospolitą głowę wypełniają szumem niepojętości złożyć w jedną, piękną całość; i któż na tym punkcie podobniejszym jest do Stwórcy? Ilekroć jednak Plato zagłębia się w życiu fizyczném, i spój-

rzy na codzienne przemiany, na ten szyderczy śmiech natury, która codzień a codzień w proch obraca marzące o nieśmiertelności głowy; ile razy zwróci myśl na wieczną zmianę — to piętno świata, — Plato wówczas jak Heraklit ponure, okropne daje wyroki. „I któż powie, że co żyje, żyć będzie? — jeśli wyrzekł to kiedy — sądziłem przez to, że wszystko łączy się lub rozdziela — lecz ani jedno, ani drugie trwale. Światłość tylko jest w Bogu, ciemność w chaosie! (*Hades*), lecz w każdej chwili co dziś jest światłem, jutro w chaos przejść może!”

Późniejsi od Platona mędrcy Grecy rozbili filozofję na dwie gałęzie — pierwsza z nich trudniąca się materjalnym światem, została po części zaniedbaną, nie sprzyjała bowiem wrzącym mózgom Greków mozolna praca nad prawdami świata, nie mogącemi się obejść bez rozumowań zimnych i ugruntowanych na doświadczeniu; ale za to drugą część, naukę niematerjalną, filozofję moralną, społeczną, i t. d., słowem, absolutne utwory mózgów swoich lubili namiętnie. *Arystoteles*, *Ary-*

*styp, Zenon, Epikur, Dyogenes* i ćma innych, razem ze swojćmi szkołami, rzucili się w o-  
tehtań abstrakeyjnycł myśli i wrzące pomy-  
sły jak mogli odlewali w zimne filozoficzne  
książki.

Szkola *Stoików* długo górowała nad innć-  
mi. Lecz owe szlachetne usiłowania, by za-  
chować równowagę w życiu duszy i ciała,  
owa zimna obojętność na przemiany losu — ta  
marmurowa, bez ruchu twarz Stoika, ta su-  
rowość ich życia, została zatarta drobiazgo-  
wćmi rosprawami i subtelnościami, dla głów  
ciasnych waźnćmi. Sofistów coraz było wię-  
cćj — przesadzano się aby dowcipem zastąpić  
brak myślenia, i z fałszywycł założeń fałszy-  
we wnioski wyprowadzano. Tak owe śmie-  
sne sofizma *Chryzippa* bawiło Megarejczyków,  
gniewało Ateny: „Co jest w Megarze to nie  
jest w Atenach — aże są ludzie w Megarze,  
więc ich nićma w Atenach.” — W owym to  
czasie i szkoła *Sceptyków* doszła swego szczy-  
tu. *Pirron* wąpił o wszystkićm. „Czy ja  
jestem, czy nie jestem?” Oto duch jego mą-  
drości. Ta zmienność wszystkiego, którą dał

uczuc *Demokryt*, cierpka ironja, będąca żywiołem *Heraklita*, w nim powiązała się z ugruntowaną myślą niewiary.—, „Wszakże istnieć — być, mieści w sobie wyobrażenie trwania? — więc nie istnieje co znika!” Sceptycyzm Pirrona rozszerzył się jak każda nauka fałszu i przeszedł aż do nas pod rozmaitemi postaciami; nie było zgubniejszego pomysłu nad ten; Grecja zarażona maxymą Pirrona upadła zupełnie na siłach umysłu, jak konający, któremu odbiorą wszystkie pociechy — nawet jego wiarę w drugie życie.

Zdaje się, że Grecja dla tego nie była tak bogatą w poetów, jak być powinna, iż miała tylu filozofów - poetów. Młodzież grecka ogniste pomysły świeżo myślącej głowy natychmiast skierowywała do mądrości, do filozofji — i to jest zapewno przyczyna, że miłość, ta treść tylu a tylu genialnych dusz w wiekach Chrześcian dla Greków prawie nie istniała — Grecy miłość wcielili w posągi, — *Praxiteles*, *Lizypp*, *Apollodor*, dłótem ukształcali dzieła miłości. Miłość u Greków była wyobrażeniem bardzo nierozległym, nie tak

jak u nas, u których niejedna pieśń o niej jest metafizyką starożytnych — Grecy kochali się w światach i tak samo jak my pisali romanse, tylko trochę ucześnie i mniej pie-szczone.

Tolerancja opinij Greckich była bez wątpienia największą pobudką do ukształcenia się tyłu szkół filozofji; nie bowiem droższego dla człowieka oświeconego, jak jego rozumna wola, wyrażona w rozumnych pismach; — ta jednak tolerancja wzbudziła razem sprzeczność w zasadach filozofji, dla której na jednej i tejże samej ziemi, ledwo nie na jednej jej stopie, wzrastały nieraz szkoły zupełnie sprzeczne. Grecja, śmiało powiedzieć można, była obszernými szrankami zapaśnictwa uczonego, gdzie całym celem dążenia był laur, jakaś nieśmiertelność, jakaś sława, choćby chwilowa. Nie było zamiarem starożytnych szukać prawdy dla prawdy — mozolić się jak Galileusz, i potem w kajdanach odwoływać słowa świętej prawdy, nie przez bojaźń mąk, ale przez żal utraty tego życia, co jeszcze dalej w krainie podobnych prawd zagłębi się,



co jeszcze tym sposobem zostanie pożyteczne dla ludzkości. Starożytni, mówię, więcej robili dla sławy, dla połysku, choćby chwilowego; ztąd mądrość ich po większej części jest improwizowaną, zapal w nich wiecznie przemaga nad wewnętrzną cichą żądzą prawdy; ztąd ich filozofja nosi cechę wdzięków jak i ich snycerstwo. Nie było w nich ludzi, coby obojętni, że ich praca nie da lauru, budowali gmach wymyślony przez kogoś, i tym sposobem sławę swoją stracili w sławie cudzej dla tego jedyne go celu, żeby prawdę rozwinąć jaśniej; i dla tej to podobno przyczyny wszystkie wysilenia umysłów starożytnych nie rozjaśniły cieniów, któremi natura w oczach człowieka jest pokrytą, a mądry Plato, dowodzący że człowiek jest ptakiem bez piór, dowiódł jedynie, że ani nad ptakiem, ani nad człowiekiem się nie zastanawiał.

Mędrsze na tym punkcie wieki nowe — uczeni ich marzyli jak i starożytni, ale marzyli rozumniej, czuli, że natura zbyt ma wiele cieniów, żeby je całkiem rozpędzić można było, ale też pojęli, że je rozwidnić jest

w sile ludzkiej, Uczyli się naprzód natury z jej własnej księgi, stracili wiele lat na doświadczeniu, na mozolnym wkopywaniu się w cienie jej — później dopiero dali lot wyobraźni, a ilekroć ta rozogniona zanosila duszę w krainę ideałów niewcielonych, nauka doświadczeń i lata mozołów były wędzidłem, zbyt ni powściągającym zapal; dla tego to u nas tak mało szkół mądrości, bo czujemy to, że prawda jedną jest, i systemat więc ją rozwijający jeden być musi. Możemy się więc cieszyć wszyscy, którzy lubimy nasze wieki nowe, bo na tym punkcie mędrsze są one od starożytnych — ale w krainie ideałów starożytni nas przeszli i daleko za sobą zostawili — może to skutkiem jest klimatu, może wręście czasu samego, w którym przez tyle wieków ród nasz lepiej dojrzał, a zatem wyrzekł się uniesień młodości — cokolwiek bądź, w wyobrażeniach absolutnych dziećmi jesteśmy przed starożytnymi.



**VI.**

**P a r a c e l s .**





~~SZPITAL  
 Przemyslenia Pańskiego  
 na Pradze.  
 Oddział Dra O. JAKIMIAKA~~

## VI.

### P a r a c e l s.



Was soll aber das Salz, wenn es nicht  
 scharff beisset? Was die Schneide  
 am Schwerdt, wenn sie nicht scharff  
 ist zu schneiden?

LUTHER.



**N**IC BARDZIEJ zajmującego i nie razem  
 dziwaczniejszego znaleźć nie mozem  
 w historji rozumów ludzkich nad genjusz nie-  
 dokończony, nad człowieka wielkiego w wielu  
 tylko myślach, a nie we wszystkich, tém bar-

dziej jeśli stanie w wieku ciemnoty i barbarzyństwa — Dziwna ta istota, na pół należąca do teraźniejszości, napół przychyłona w wieki przyszłe, w rzeczy samej do żadnego nie należy; jest to twór pośredni, niezaliczony do porządku natury, jest to potwór rozumny wieku, w którym żyje — meteor, — kometa, momentalnie wielki, dziwny, olbrzymi, otoczony blaskiem, a znikający bez śladu — jak wichurawy wyje, wstrząśnie, zburzy i znika bez korzyści, zostawując za sobą uwielbienia wielu, więcej przekleństw, a podziwienie wszystkich — Podobne genjusze nie mogą się tworzyć w wieku naszym encyklopedycznym, w którym i genjusze przejść muszą drogę rozumowania i zimnej rachuby tak, jak głowy pospolite, i nie pierwiej śmieją zabłysnąć światu, aż ochłodną i stracą zapal fanatyczny; ale wieki średnie, to ogromne martwe jezioro, zapełnione cieniami głupstwa, bezsilne jak dziecko i ciałem i rozumem, mogły wydać coś podobnego — Wyobraźmy sobie wiek XV.: wszelka władza niedoleżna, narody śpiące po swoich urojeniach krzyżowych, wnuki dawnych władców świata, jakby

dla zrównoważenia sławy ojców znikczemnia-  
 ła — północni przechodnie, ten miecz, co zni-  
 szczył starożytność, stępał, pruchniał i zda-  
 wał się tylko wołać jarzma silniejszego mę-  
 za — słowem, starożytność zgasła, nowożytność  
 ciemno i to ledwie świecąca — Zajrzmy w hi-  
 storję ich ducha, a znajdziemy odbicie się dzie-  
 jów ziemi — Chrystianizm, ta jedyna pochodnia  
 światła, jedyna ręka, mogąca ugłaskać rozhu-  
 kane barbarzyństwo bez rzucenia go w drugą  
 ostateczność, w spodlenie — chrystianizm źle  
 pojęty, gorzej zastosowany do życia praktycz-  
 nego, nie działał lub tylko działał sposobem  
 innej władzy ziemskiej — Wiara zmieniła się  
 w przesąd, w bezrozumne wyobrażenia gminu,  
 w dziwne urojenia mnichów, butwiejących po  
 klasztorach — wiara nie służyła już, jak dawniej,  
 do powiązania wszystkich ludów jednym wę-  
 złem rozumnej, godnej człowieka, godnej chrze-  
 ścianina miłości, ale przeciwnie odosobniała,  
 kazała zamykać się, i w widzeniach rozdrażnio-  
 nej fantazji szukać natchnień i prawdy, co po-  
 grzebiona w duszy każdego, czekała rychło ro-  
 zum każe jej zmartwychwstać. — Był to wiek

chrześcijaństwa popsutego samolubstwem—wiek zupełnie przeciwny męczeńskiem, pełnym poświęcenia się czasóm.— Fantazja więc przeważyła na szali Europy — fantazja była wiarą, fantazja była nauką; i cóż więc dziwnego, że za prawdę brano także fantazje — Próznobys wówczas chciał znaleźć naród, towarzystwo rozumne, kiedy nawet w głowach ludzi, oddanych pracóm umysłowym, oddalonych od zgiełku świata, panowała jakaś dziwna mieszanina, uniesienia fantazji i fanatyzmu — Niegdyś wschód równie nieokrzesany, jak później Europa, uczył się rozumu własnemi siłami, w pojęciach szedł stopniowo jak dziecko, aż doszedł rozumu męza — a wtedy Europa, równie dzika, również chciała własnemi siłami powstać z niemocy umysłu, lecz chciała powstać od razu, od razu być mądrą — nowy, oryginalny sposób dążenia i życia! Europa zdawała się nie mieć dzieciństwa — bo ten długi letarg, w którym nie pracowała ani duszą ani ciałem, nie mógł się nazwać dzieciństwem, Europa od razu była młodą, żywą, energiczną; lecz że gardziła pojęciami zmysłów, młody więc jej umysł



obląkać się musiał. Nie chciała się o niczém przekonać, jak dziecko, okiem, dotknięciem ale w sobie się zawarła duszą, i od razu duchowném okiem patrzeć chciała, nie chciała iść od pojęć zmysłowych do umysłowych, ale od razu rzuciła się w otchłań duszy — a tam ujrzała razem tyle, iż nie dziw że nie pojęła, nigdzie prawdy nie znalazła.

Mistycyzm był górującą cechą tego wieku; i bardzo naturalnie, bo samotnik zagrzany i imaginacją, cóż utworzyć może w głowie, jeżeli nie dziwy za granicą pojęcia będące? — Nauki, jeśli były jakie, stały się wyłączném posiadaniem ludzi, co gardzili światem i jego ponętami, którzy albo byli za słabi, albo za dumni, żeby w Europie wśród tej nocy chwytać za to, co w ręce wpadnie, albo narażać życie na komedji turniejów, najazdów i innych wojennych fantazij tych czasów — były więc tylko u zakonników, którzy zanadto mało widzieli i nadto umysł mieli związany swemi duchownými widzeniami, zanadto gardzili mądrością pogańską, a żeby krok dalej w badaniach posunąć. Nie chcąc lub nie mogąc o ni-

czém się przekonać, zarzucili doświadczenie, a tylko w książkach, w wyobrażeniach oderwanych, szukali prawdy; spotykając zaś nieraz trudności, chcieli je przemodzą siłą imaginacji—tworzyli więc, co nigdy stworzonym nie było,—myśl dziką i śmieszłą o jakiejś sile tajemnie działającej— a ta siła było to wszystko, co ożywia, był to talizman, z którym wszystko wypełnić było można. Myśl ta wieków średnich, wzięta od Indjan i Egipcjan, przyjęła się i rozrodziła wkrótce na wiele gałęzi: ztąd pochodzi wieszczbiarstwo wieków średnich, szukanie kamienia filozoficznego, astrologja, chiromancje, elixery życia, specyfika i nieskończona liczba ich modyfikacji. niesprawiedliwie niektórzy uważają chrystianizm za całą przyczynę tego chorobliwego wygórowania ducha; mógł on wprowadzić bardzo oderwać człowieka od badań zewnątrz siebie— od wyobrażeń cielesnych, ale go nigdy nie usposobił do marzeń dziwnych pomysłów i zapału prawdziwie wschodniego— Wschód to więc, a mianowicie Egipt, i napływ uczonych żydów, dostarczały Europie tych marzycieli, którzy tak dłu-

go wicherzyli nauką, i w miejscu prawdy chwytali jęj cienie.

Alchemja i Astrologja, były to dwa bóstwa tego wieku — kto chciał być mędrceem, musiał je pojąć i doskonalić — Alchemja, której doświadczenia odbywały się w samotności, której wypadki często nadzwyczajne, niespodziewane, na pozór nie mogące się wytłómaczyć, usposobiały do marzeń o duchach zaklętych, o cudach i talizmanach. Astrologja — nauka urojeń niebieskich, wzbudzająca ducha proroctw; obie razem musiały się tłumaczyć językiem natchnienia, niezrozumiałym, nowym i zadziwiającym. Alchemik przy swoim tyglu, z którego miały się urodzić dziwy, astrolog przy swoich lunetach nie żyli na ziemi, nie pojmowali rozumem ziemskim; nie dziw zatém, że to, co utworzyli, nie mogło być korzystnëm dla ziemi. A ślepe tłumy narodów cisnęły się do tych cudotwórców, połykały ich wyrazy i puszczały dalej po gębach dziwnie i poetycznie przekształcone, i odziane w barwę gminnych przesądów — nie zdolni zaś wytłómaczyć te nadzwyczajności, widzieli w nich siłę du-

chów. Alchemik gdzieś w głębi ziemi zakopany, wynędzniony bezsennością i wyziewami kruszców, wiecznie topiący, mięszający sto razem rzeczy, przy blasku lampy nagle oświecony luną, pożarem wybuchającym w chwili pracy, gdzie ciszę nocną przerywały nagle wystrzały, zjawiska nie pojęte dla nierozumiejącego Chemji gminu, Alchemik mówię czém mógł być nazwany od pospólstwa, jeśli nie czarownikiem, jeśli nie człowiekiem, co duszę zaprzedał szatanowi? A tenże marzyciel niebieski — Astrolog — któremu gwiazdy jak książki gadały o przyszłości? musiał mieć związek z duchami powietrznými, a tego dostąpił przez swoją mądrość — lud powiadał. Korzystano z przesądów — tysiącami powstawało szalbierzy chciwych zysku, a ciemny gmin płacił i dziwił się.

Taka jest charakterystyka wieku, w którym powstał Paracels — poznanie jej jest konieczną rzeczą, jeśli mamy być bezstronnými sędziami człowieka, mieszczącego wiele przesądów swego wieku, obok pomysłów, których spełnienie dla przyszłości było zostawione — charak-

terystyka tém pożyteczniejsza, że największa liczba ludzi zwykła potępiać potępionych niegdyś, a ci co potępiłi pierwsi ani się oglądali na wiek, w którym żył potępiony, i którego cechy musiał koniecznie mniej więcej przyjąć, ani na dążenie, ani na trudność co mu na drodze stawały; a wieluż to idzie za zdaniem współżyjących, którzy albo zazdrością powodowani, albo niezdolni pojąć potępiającego, czuć nie mogą i przekazują szperającym potomkóm powtarzanie raz nakłamanych wiadomości, i ten łańcuch kłamstw rozciąga się aż do ostatniego Kompilatora, u którego znajduje się sąd krótki i stanowczy — był to szarlatan! — dla tego że tak mówili społeczesni — choć pierwszym prawidłem w sądzeniu genjuszów powinnyby być pamiętne słowa pisma: „żaden prorok w swoim kraju nie był cierpianym.”

Nie myślę pamiętce człowieka, który Europę zdziwił swoją sztuką, poświęcać, jak to wielu uczyniło, od razu szyderstwo we wstępie, lub jak jeden z przemądrzałych biografów, piszący nad życiem Paracelsa, słowa, zarozumiałemu tylko głupcowi służyć mogące: *Odi profa-*

*num vulgus!* sędzę owszem że podobnym to zbutwiałym mędrcom, tym tworom jednodniowym, służyłby przyzwoiciej— Człowiek godny imienia człowieka, którego wiek napiętnowany pracą i pożytkiem dla ludzkości, zawsze powinien odebrać hołd wdzięczności; będzie on jak pszczoła znosząca różnej wartości miód z ziół różnych i zostawi nieraz komórki swęj pracy próżne, ale pewno nie będzie mołem, toczącym cudzą własność. Niech się zatém nikt nie dziwi, jeśli nawet pisnu temu nadam barwę obrony nie z entuzjazmu dla niego, ale jedynie przez to przekonanie że genjusz zawsze jest tém, co nam najwięcej przypomina Bóstwo.— Szanujmyż go!

Theophrastus Paracelsus, albo jak sam siebie nazywa, Philipus Aureolus Theophrastus Paracelsus Bombast von Hohenheim urodził się w Szwajcarji 1493, a według innych 1483 roku. Już samo jego imie i niepewność czasu urodzenia, były powodem dla wielu, że go potępiono. Wielu osądziło że Paracelsowi 10 lat życia chcieli przydać jego stronnicy, żeby pokazać że żył dłużej za pomocą swego dzi-

wnego elixeru, mogącego życie przedłużyć — słuszniejby jednak to należało wyrzucić jego biografom — Co do imienia — wieluż to i w naszych czasach kilką się odziewa nazwiskami albo przybiera nowe, niesłychane — długie jego nazwisko tylko tyle ma złego, że chrapliwie brzmi w uszach naszych; — możeby nasze w wiekach średnich równie śmiesznie się wydawały — Powiadają jakoby Theophrasta Aureola imię przyjął przez chęć, tak bowiem nazywał się jeden z uczniów Sokratesa — Wyrazy Bombast von Hohenheim oznaczają ród szlachezny i osiadłość, któremi w owych wiekach tak szczycono się — I tu wielu zarzuca, że Paracels z najniższego gminu pochodzi — zarzut bez wątpienia w XIX wieku nie godzien rozbierania.

Ile najpodobniejsza do prawdy, zdaje się że ojciec jego był lekarzem i dość mającym — czy więc nie to było pobudką, iż pomimo największego popędu, jaki miał do metalurgji, obrał sobie na przyszłość professją lekarza, aż nadto wówczas popłatną — Niedostatek szkół publicznych i książek, nie pozwolił mu zape-

wne rozwinąć wrodzonych zdolności; i dla tego, zwyczajem owoczesnym, nauki czerpał w podróżach razem z innemi waleśającemi się, tak nazwanemi Scholastici vagantes—Przechodząc zaś wiele krajów, pracował razem nad nauką gwiazd, chiromancją, sztukami czarów, i cisnącemu się gminowi wróżył przyszłość — Tak bezkorzystnie przepędzać młodość, było wówczas zwyczajem ludzi, mających kiedyś całe życie trudnić się naukami — podobnym w młodości włóczęgą był i Luter — Niepodobna jednak przypuścić, żeby tym tylko sposobem mógł nabyć tak obszernych wiadomości, któremi później służył. To pewna że ojciec jego, lekarz, nie był ubogim, że miał nawet mały księgozbiór, skarb na owe czasy rzadki — wiadomo również że największa liczba książek wówczas należała wyłącznie do teologii; pismo *Stc*, dzieła kilku ojców kościoła, alchemików i w ogólności odnoszące się do tajemnic, zajmowały jedynie pracujących nad naukami — tym więc pewno sposobem mógł Paracels przejąć się energicznym duchem i żądzą nauki, jemu tylko wówczas wyłączną. Szcze-



gólne miał upodobanie w pismach alchemików i metallurgów, i we wczesnej jeszcze młodości, w podróżach odbytych, uczył się przy kopalniach i hutach, badał minerały i z zapalem oddał się Alchemji— Gdy zaś na owe czasy zakonnicy trudnili się najwięcej tą nauką, od nich więc czerpał wiadomości, a jak najbardziej do prawdy podobna, niejakiś mnich von Tritheim i Zygmunt Fugger byli jego głównymi nauczycielami, od których przyjął wiadomości metallurgiczne, hutne i alchemiczne, i to także było powodem, że go wczesnie zrobiono czarownikiem i zaprzędanym djabłu. Niesłusznie go jednak robią niektórzy Alchemikiem albo raczej Hermetrykiem, jakim był Arnold z Villanowy, Hermes Trismegistus, Aurelius Augureleus, Lullus, sam nawet Valentyus i Albertus Magnus— Paracels pracował nad Chemją rozumowaną, a wskazując wszystkim drogę natury i doświadczenia, czyż mógł się bawić ideą tak abstrakcyjną jak myśl o kamieniu filozoficznym? przeciwnie w jedném z pism jego (1) znajdzie czytelnik obszerne i piękne tłumaczenie się Paracelsa, wyśmiewają-

cego Alchemików, trawiących życie marnie nad dojściem rzeczy, niemającej istnienia w naturze.

W podróżach też swoich, jak sam wyznaje, zwiedził wiele uniwersytetów, wielu sławnych ludzi swego czasu słuchał, lecz jeszcze prędzej wszystko opuszczał i przebywał różne kraje, aby, jak sam powiada, uczyć się „tam gdzie się nauki zrodziły, aby w księdze natury czytać—z niej pojąć Boga i być mądrym”— Takim sposobem przeszedł Niemcy, Francję, Włochy, Hiszpanję, Polskę, Ruś, Turcję a jak niektórzy sądzą, zwiedził nawet Arabję, był w Egypcie i u kończyn Libji. Wszędzie badał naturę w jej zjawiskach, poznawał zioła, kruszce; a umiając, jak na owe czasy, doskonale Chemją, przyrządzał z nich lekarstwa chemiczne. Jeden to był człowiek w owym wieku, który wzgardził nauką książek, pojął, że w nich wiele jest fałszu, czuł, że łatwiej, nanowo naukę natury stworzyć, aniżeli stare bajki poprawić, i z całą mocą rzucił się do spełnienia wielkiego przedsięwzięcia—W podróżach, jak sam powiada, nie stracił chwili,

badał wszystko i wszystkich, nie gardził wiadomościami równie mędrca, jak wieśniaka, lekarza, cyrulika, wroźbitów, bab, czarowników, słowem, u wszystkich wiadomości zbierał i z nich prawdy dochodził; podróże te najwięcej wpłynęły na jego charakter i przyszły los; nawykły do wszystkich trudów, ciężarów, niedostatku i pracy, przenosząc się z miejsca na miejsce, stwardniał i stał się nieczułym na wszystkie ciosy od losu i ludzi rzucone — ztąd umysł jego stał się samoistnym, mocnym, ale razem dzikim; gdzie tylko mówił lub pisał przeciw komu, były to ciosy, słowa stanowcze, śmiertelne, ale nieznośne i zbyt nieokrzesane, aby się mięko czującym ludziom podobać mogły. Był to jeden z ludzi znakomych, który nigdy nie upiękniał prawdy, będąc pewnym że jej blask przetrwa pozorne błyskotki ozdób. Żyjąc długo w różnych stronach, najczęściej w pośród ludzi nieokrzesanych, bo tam tylko spodziewał się co nowego usłyszeć, stał się wreszcie niezdatnym do świata ucywilizowanego — gardził nim — a świat mszcząc się, nazywał go dzikim, ciemnym, fa-

natykiem i wszystkie jego podróże nazwał włóczęgą — Słuchajmy jak sam się tłumaczy:

„Potrzeba żebym się wytłumaczył z moich podróży, i dla czego nigdy w miejscu nie zostałem. Nauki nie są zamknięte w jednej ojczyźnie, ale rozdzielone całemu światu, nie są ani u jednego człowieka, ani w jednym miejscu, ale potrzeba je wygrzebać, zbierać i szukać tam, gdzie są. Nauka za nikim nie idzie, ale trzeba za nią iść, a przeto zrozumiał że i ja muszę ją szukać, a nie ona mnie. — Wy nie jesteście Parambulani (podróżnicy) a przeto nienawidzicie każdego, który jest innym jak wy — Lepszych nie możecie cierpieć, boście zazdrośni. A teraz wiem to, że podróż nie psuje, ale lepszym robi. Gdzie Bóg mądrość zostawił, tam jęj szukajcie, jest to wielka nauka dla człowieka, aby tam darów Bożych szukał, gdzie one są, bo musimy się o nie starać — a kiedy koniecznie czynić tak należy, czemuż gardzicie tym, który to czyni? Prawda, że którzy inaczej postępują, mają więcej, którzy pod piecem siedzą, jedzą kury, którzy nauki szukają, jedzą mleko — którzy po kątach gnuśnieją, no-

szą jedwabie i łańcuchy, a którzy podróżują dla mądrości, w płótnach chodzą — którzy żyją w pałacach, mają zimno i ciepło według upodobania, a którzy nauk szukają, nie mają ciepła jeśli drzewa nie znajdą — Kto chce brzuchowi tylko służyć, nie będzie mnie naśladował; pójdzie on za temi, co w miękkich szatach chodzą. A przeto i wy nie jesteście zdolni do podróży. Wszakże Juwenalis jeszcze powiedział, że ten tylko bezpiecznie podróżuje, kto nie ma: wy więc napomnienia jego słuchajcie, aby was nie obdarło, siedzicie pod piecem i pijecie piwo. Sądzę zatem, że dotąd dobrze czynił podróżując, i że tym szczycić się a niewstydzic powinienem — bo przekonałem że kto chce pojąć naturę, powinien przejść jej księgę — pisma można nauczyć się ze zgłosek, natury zaś idąc z ziemi do ziemi, co ziemia to inna karta — Jestto więc kodex natury, potrzeba przejść jego karty.” —

W Arabji i Egipcie nauczył się, jak mówią, Paracels leczyć wiele najcięższych chorób, jednem słowem (cudownie!). Dość było kilka kropel jego cudownego Laudanum, a życie ga-

snące mogło być znowu wskrzeszone — Wiele też chorób, za nieuleczone dotąd uważanych, podagra, wodna puchlina, zarazy, mógł od razu leczyć, a chorzy bliscy zgonu, kiedy był Paracels, mieli jeszcze nadzieję życia. Jest to bez wątpienia przesadzona pochwała, albo raczej wyrachowane potępienie, przyznając mu bowiem cuda podobne, robiono go w oczach rozsądnego człowieka i potomności szarlatanem — To pewna że w sztuce lekarskiej przewyższył i daleko za sobą zostawił współczesnych Doktorów — Gdy Albert Basa, lekarz Króla Polskiego powracał z Włoch i odwiedzał Paracelsa w Bazylei, zaprowadził go do pewnego chorego, któremu Basa zapowiedział śmierć nieodzowną w krótkim czasie — Paracels zaś dla pokazania potęgi swęj sztuki, zaprosił chorego nazajutrz na obiad do siebie; jakoż dał choremu trzy krople swego Laudanum, który w istocie nazajutrz był w mieszkaniu Paracelsa. (*Adam*). — Wreście i szacunek i znaczenie jakie sobie zjednał znajomością sztuki lekarskiej, świadczy pismo podziękowalne Arcyksięstwa Karyntji, wzmocnione 14 pieczęciami, tak

brzmiące: „a przeto za wielką pilność i troski, poniesione dla obronienia narodu od ciężkich chorób, i przez szacunek, który mamy dla niego, wspólnie z całym narodem oświadczamy mu przyjacielskie i najczulsze dzięki.”—

Niezawodną jest rzeczą że Paracels sam sobie był powodem do przyszłych nieszczęść i przesładowania: dumny, często samochwaleca, napojony dziwną energją, wiele umięjący, ale wszystko, co umiał, tłómaczący językiem ciemnym, ledwo nie kabalistycznym, na którym najwybitniej przyświecała cecha wieków średnich, musiał zyskać z jednej strony ślepą wiarę i podziwienie pospólstwa, a z drugiej zazdrość uczonych swego czasu — Zład pierwszą potwarz rzucono na niego, że się szatanowi zapisał — Śmieszna dzisiaj myśl a niegdyś bardzo poważna i straszna! Jeden z jego uczniów i najzapaleńszych naśladowców, a potem wróg zacięty, wyraża to w tych słowach: *consortium infame cum Diabolo habuit* (2). Dowodzi on że Paracels miał to za dobre, za niesprzeciwiające się chrystianizmowi, djabła przywołać i użyć jego pomocy dla zyskania

jakiéjs waźnej rzeczy. Gmin połykał takie wieści, i wszystko niepojęte tłómaczył sobie łatwo siłę czarta przypuszczając. Mędrzec zapaleniec, ślęcząc długo nad nauką, kiedy nie mógł dójść piérwszój przyczyny zasadowój tajemnicy mądrości, wołał wśród nocy szatana, a ten posłuszny skinieniu, miał wypełniać jego rozkazy pod pewnemi warunkami—szli więc do kościoła z jednym świadkiem a gdy przed poświęceniem wody kontrakt krwią był podpisany, uczynny szatan zwykł był obdarzać swego klienta jakimkolwiek potężnym talizmanem. Paracels naprzykład miał mieć miecz, w którego rękojeści cała mądrość lekarska była ukryta, z którym zawsze chodził na lekcje publiczne — bez którego nie nieumiał — tym to mieczem, powiada Oporin, nieraz nocną porą popianu wywijał, i potém myśli ciemne kazał pisać swemu uczniowi. Dziwna rzecz że mu nikt nie postarał się o wykradzenie podobnego talizmanu — i jeśli to prawda, można się dziwić wstrzemiężliwości złodziejów średnich wieków.

Sława Paracelsa wkrótce rozeszła się po



całych Niemczech, ubóstwiano nieobecnego—niektórzy mówią nawet jakoby w Turcji będąc wyleczył Sultana, i tam od niejakiegoś alchemika dostał tak powszechnie szukany kamień filozoficzny; inni mówią jakoby w Tatarji złapany i długo był więziony— Cokolwiek bądź około 33 roku życia wrócił Paracels do ojczyzny, i z powszechném wszystkich zadowoleniem został najwyższym lekarzem miasta i razem professorem w uniwersytecie w Basel Chirurgji i Alchemji — nie był jednak zaspokojony swoim miejscem, nie mógł bowiem wykładać tak, jak chciał, obszernie swoją teorię— I w tymto czasie sława jego a razem prześladowania doszły do najwyższego stopnia. Paracels powstał przeciwko ospalstwu ówczesnych lekarzy, potępiał głośno Avicennę i Galenowi nie przepuścił. Nazwał wszystkich Doktorów kuglarzami, głupcami, oszustami, czyhającemi na pieniądze chorych; co więcej, obrażał wyrażeniami, szarpiącemi ich sławę; i tak *np.* mówi: „Szezerze wam powiadam że najgłupszy włos „głowy mojej więcej umie od was i od wszystkich waszych pisarzy, a rzemyki trzewików

„moich rozumniejsze od waszego Galena i Avicenny, a broda moja doświadczeńszą jest nad wszystkie wasze Akademje— i wiecie że już przewiduję godzinę, w której świnie was do błota wciągną” — (3). Postąpił jeszcze dalej bo publicznie spalił wszystkie dzieła Galena, naśladując zapewne Lutra, palącego bulle Papieżkie (4). Nikt jednak nie śmiał mu wręcz zarzucać nie tylko szarlatanizmu, ale nawet błędu; tłumy bowiem szczęśliwie wyleczonych dostatecznie dowodziły doskonałości jego sztuki — ale rzucono się do innych sposobów; co niezdolała siła chytra, — potwarz dokonała — Paracels był popędliwym, energja, którą oddychają jego pisma, przebijała się w całym jego życiu: ile więc razy zarzucano mu śmierć czyjąkolwiek, tyle razy Paracels mszcząc się słów, w wyrażeniach zemsty, niedobierał, prędko tym sposobem zyskał tysiącami wrogów — W tym właśnie czasie niejakiś Frobenius, stary pedogrzysta, którego Paracels raz już uratował, z podziwieniem sławnego Erazma, umarł; śmierć jego, skutek długieji nieuleczonej choroby, przypisywano ostrym metalicznym lekarstwóm, któ-

rych używał— Sława Paracelsa zwichniętą została; na nieszczęście w tymże samym czasie niejakiś Kanonik von Lichtenfels oddawna cierpiący podagrę, udał się do niego po radę, obiecując mu za wyleczenie sto złotych; Paracels trzema pigułkami swego cudownego Laudanum przyprowadza go do zdrowia— uzdrowiony pedogrzysta daje mu tylko 6 złotych— Rozgniewało to Paracelsa— chciał drogą prawną dochodzić należytości; niewdzięczny Kanonik tłumaczył się, że Paracels raz go tylko odwiedził i dał mu lekarstwo, które i trzech groszy nie było warte, jak się wyrażał: „*tres mureni stercoris pillulos*” — Paracels mając tylu nieprzyjaciół, naturalnie, przegrać musiał sprawę, i przyznano mu tylko taxę zwyczajną. Całą wściekłą zapamiętałość swoją tu pokazał, mścił się jak tylko mógł, często groził sędzióm, wyrzucał im na oczy niesprawiedliwość, przekupstwo i głupotę, nazywał ich ludźmi, deprecąciami boskie i ludzkie prawa; w liście swoim do Xięcia Karyntji złorzeczenia przeciw wszystkim wyrzucał— Nieuszły mu bezkarnie te pogrózki, znalazła się i wina i sę-

dziowie i dekret, postarano się o wydalenie jego z Bazeli, tak szybkie i niespodziane, że nawet swój cały aparat chemiczny, jedyny skarb, musiał zostawić najulubieńszemu uczniowi swemu Oporinowi, który go wkrótce tak haniebnie zdradził.

Od tego czasu głośno wyrzekano przeciw Paracelsowi, wszystko co pisał wyśmiewano, zarzucano mu że nic nieumiał, że wszystkie wiadomości, wszystkie swoje dzieła pobrał żywcem z rozmaitych dawnych pisarzy — niezaspokoiło to nawet wrogów, rzucili się na jego moralność. Paracels miał nieszczęśliwy nałóg pijanstwa, przywiązujący się często do ludzi wielkich, lecz za mało o siebie dbających — wyprowadzono go więc na scenę — krzyczano głośno że Paracels pisał wszystkie swoje dzieła po pijanem — Oporin, najulubieńszy uczeń jego, który razem z innymi dopóty służył, dopóki widział że będzie mógł korzystać, wyrzucił morze paszkwilów, które nawet gdyby miały cień prawdy, powinny być odrzuconymi, jako wychodzące z ust ucznia zdrajcy — Mówił on że Paracels był w związku ze złemi

duchami, że nieraz w nocy trunkiem rozpalo-  
ny wywijał mieczem, z kimś rozmawiał, wpa-  
dał w niezwyčajny zapal — wściekłość, nie-  
kiedy słabnął, to znów mówił niezrozumiałemi  
słowami; i tak nieraz późno w noc przystępował  
do jego łóżka, był niezwyčajnym głosem i  
przestraszonemu kazał pisać długie i niezrozu-  
miałe swoje myśli — Nazywano go szalonym i  
nieludzkim; powiadano jakoby raz po wygna-  
niu z Bazylei, kiedy siedział zwyczajem swoim  
w karczmie i pił razem z najpodlejszym gmi-  
nem, przyszli prosić go aby przez litość od-  
wiedził umierającego wieśniaka — Paracels miał  
odesłać bez odpowiedzi poselstwo, i pił dalej  
do świtania — rankiem, po skończonėj uczcie,  
przypomniał, że trzeba odwiedzić nieszczęśli-  
wego wieśniaka, idzie więc do jego chaty, lecz  
na progu spotyka kapłana, któren go przygo-  
towywał na śmierć — Paracels pyta czy już  
chory co przyjmował? — nie, odpowiedziano,  
oprócz ostatniego duchownego pokarmu: ha —  
miał odpowiedzieć — kiedy innego lekarza ra-  
dy zasięga, a więc mojej niepotrzebuje — i zo-  
stawił nieszczęśliwego bez nadziei. Oporin po-

wiada, że od téj chwili został nieprzyjacielem Paracelsa; zdaje się jednak, iż go prędczej opuścił niewidząc więcej w swym nauczycielu potężnej pomocy, jaką mu był pierwój — Znamienity ten lekarz w Bazeli spodziewał się bezwątpienia dostać od niego kamień filozoficzny; dla tego też na początku tak się go mocno trzymał. Pojmował to i sam Paracelsus wspominając o kilku szczególnie go naśladowujących, a najbardziej o niejakiś Drze Korneliusie, którego zowie swoim sekretarzem — powiada uskarżając się na uczniów: „że te psy zgłodniały, łe chwytaly jego recept, jaki tylko kiedy mógł, i tak kuglarzyli” — Z tłumu uczniów, którzy bez względu na jego opilstwo i nieszczęścia za nim się wlekli, ledwo kilku miał dobrych, i jak powiada: „na stu z Węgier ledwo dwóch coś warci byli — z Polski trzech, z Saksonji dwóch, z Sławonji jeden, z Czechów jeden, z Niderlandów jeden, ze Szwabów żaden” (5).

Dalsze życie Paracelsa, wygnanego z Bazylei, było obrazem nędzy; opuszczony od wszystkich stracił ten powab, który dawniej tysiące słuchaczów przyciągał — Życie jego odtąd

było ciągiem nowych podróży, nowych trudów i nieszczęść; zaczął na nowo zwiedzać kraje, które znał dawniej, bez przytulku, zdradzony od ludzi, którym dobrze czynił, od ucznia którego kochał bez krewnych i przyjaciół, bez kęsa chleba, śmiało rzec można, rzucił się na życie tułaczę z takim zapalem i rezygnacją, jak niegdyś, wstępując w zawód pełen nadziei — Nieszczęśliwy nałóg pijaństwa, przyłączony do ciężkich prac umysłowych, musiał najwięcej zniszczyć jego siły. Od tego czasu mieszkaniem tego sławnego w swych czasach lekarza była karczma; tam wśród pospólstwa, w tłumie lotrów i rozpustników, zalewał trunkiem pamięć zgryzot, jakimi go świat przyjął, a nieraz potrzebowany dla ratunku chorego ukazywał się wyższemu światu, jak ostatni wyrzutek towarzystwa; do ostatniej jednak chwili życia używany jako lekarz, poczytywany wszędzie za wielkiego, dziwnego człowieka, był czynnym, zawsze tworzył nowe wyobrażenia, aby ulepszyć los filozofji i medycyny — Dwanaście lat przepędził na powtórnych podróżach w Strazburgu, Kelmar, Nürnbergu i wre-

ście umarł w Salsburgu w zajezdnym domie 23 września 1541 roku w 48 roku życia, pogrzebiony tamże w szpitalu Sgo Stefana, gdzie nagrobek jego do dziś dnia się znajduje (6).

Przed śmiercią wszystko co miał kazał rozdać ubogim— i tu zarzucają nieprzyjaciele jego, że nic nie miał, że jego cudowny miecz i sławne Laudanum (7) które zapewno dobrze mogłyby być sprzedane, zabrał niewiadomo kto— to jednak pewna, że choć ostatnie lata swoje przepędził w ubóstwie, miał jednak wiele naczyń srebrnych, a nawet złotych, zapewne potrzebnych do doświadczeń chemicznych. W samej jego śmierci wiele jest niepewności i śmiesznych bajek— Niektórzy sądzą że miał się otruć proszkiem djamentowym (zapewne przy robieniu go!) inni że w domu zajezdnym zadusił się w swądzie węglowym— Wielu wrześnie z ówczesnych, zapewno na zasadzie bajek, którym gmin wierzył, powiada, że Paracelszatanowi był zaprzędany, po wyjściu zatém kontraktu o duszę musiał stanąć na termin, lub został żywcem porwany do piekła — Są którzy twierdzą jakoby w szynkowni przy pi-



jatyce i kłótni został zabity, lub według innych wyrzucony przez okno szyję skrzył (*Sommering*). Dwadzieścia lat temu przeszło, Oslander szukał w grobie Paracelsa szczątków i znalazł wistocie głęboką rozpadlinę w skroniach jego, ztąd wnosić można, że gwałtowną umarł śmiercią, lecz też mogła być rozpadlina zrobioną przypadkiem przy odkopywaniu rygłem; znalazł także nadzwyczajne podobieństwo jego czaszki do kobiécęj, ztąd wnosi o prawdziwości powtarzanęj u współczesnych jemu potwarzy jakoby nie mógł mieć żony (8).

Krótki ten rys życia, odbicie słabe zapewne czynów Paracelsa, pokazuje cały jego sposób postępowania, całą duszę — była to siarka zapalona na wodzie, wszystko co go otaczało było tak zimne i martwe jak woda bagien, wszyscy uczeni żyli tylko życiem starożytności; niezdolni myśleć sami, żyli myślami Rzymian i Greków — Paracels był tym ogniem, co płonął sam sobą; pomysłami własnymi chciał wznieść ducha współczesnych filozofów i wskazywał drogę, po której własnymi siłami trzeba iść było — Stał on zawczasie i dzia-

łał za gwałtownie— Dwaj jego współcześni, podobnie mocną obdarzeni duszą, Luter i Erazm zyskali w potomności imię większe, bo dopięli celu— Luter działał w sferze polityczno-religijnej, poruszył stronę Niemiec bardziej praktyczną i materyjną; dla tego mu się udało; Erazm mówił prawdę— lecz nie ostre słowa prawdy — wskazywał drogę do poprawy, a niewytykał tak żywo na oczy błędy, pisał często pod postaciami, igrał z umysłami, i igrając uczył; co zaś najwięcej, działał na całą masę ludu nie na jeden stan— i tem się udało— Ale Paracels zaledwo stanął, zaczął mówić prawdę zbyt żywo, poznał najdrażliwszą stronę uczonych i w tę godził, wytykał i nago stawiał niedoleżność, głupstwo i chępliwość półuczonych— Każda prawda z ust jego robiła mu nowego nieprzyjaciela — a któż dalej posunie zemstę, jeżeli nie głupiec, pokryty płaszczkiem mądrości, kiedy się lęka aby go nieodkryto— przytém kraina ducha nie lubi przemian nagłych; naukowe plody człowieka, tyłu wieków prace, choćby w istocie mało warte nie mogą być w jednej chwili zburzone —

trzeba na to siły większej nadziemską, by zburzyć i razem wystawić gmach nowy i lepszy. Dla tego też Paracels ubóstwiany za życia od wielu, od wielu nienawidzony tajemnie i jawnie, którego lekarska sława przeszła w poprzek Europę, którego uwielbiał współczesny Erazm <sup>(10)</sup> zyskał w niedoli i po śmierci imie szarlatana— Jednakże czas, który zwykł najzawziętszych oziębiać wrogów, i Paracelsowi w części wrócił sławę; wielu znamienitych lekarzy, jak to, Sprengel, Hecker, Reimann i inni, niewidzą już w nim nieokrzesanego tylko szarlatana lub mniemnego Alchemika— Potomność, wążąca z zimną krwią zasługi i błędy ludzi, co wywarli wpływ na ludzkość, i w nim, jak w wielu potępionych, znalazła genjusz, splamiony wprawdzie błędami, ale zawsze genjusz— Oto są słowa znakomitego naszych czasów lekarza: „Paracelsus ab Hohenheim nieokrzesanych naśladowców medycyny Hipokratesa i Galena usiłując naprowadzić na istotną drogę natury, i przez energiczne powoływanie do pracowania nad sztuką lekarską— słynący z niej— nową przywołał epokę w jej dziejach— Zbudował nowy

systemat na zasadach Chemji, a choć nad Alchemją oddawna już pracowano i lekarstwa chemiczne u Arabów już były w używaniu, Paracels jednak częściej ich używał i najbardziej się przyłożył do zbudowania szkoły Jatro-Chemików — lecz przytém tajniki Teosofji i widziadła astrologiczne do medycyny wmięszał.”<sup>(11)</sup> — „Pośród tysiąca lat, powiada znowu Hecker, niepowodzenia dla sztuki lekarskiej Galena, zeszeconej grubými przesądami, głupstwami gwiazdziarskiemi, teosoficznemi i kabalistycznemi, w których nieokrzesane mnichy, scholastyczni filozofowie i przybylce od wschodu z rozegrzanými głowami przyprowadzili do oplakanego stanu sztukę lekarską w oczach rozsądnych ludzi, obudziła się w Paracelsie nowa, potężna siła, grożąca ruiną całej stariej budowie, a obiecująca na jej miejsce wzniesienie świeżej” — dalej mówi — „Paracels był pierwszy, który powstał na scholastyczną mądrość mnichów, i z całą zapalczywością krzyczał na drzemiących naśladowców Arystotelesa i Galena — Człowiek ten w odrębnym rodzaju szorstki; zarozumiały —

przymioty wspólne wielu Reformatorów— potrząsł swą nauką cały ówczesny świat uczony” — dziwna jednak rzecz dodaje potem: „Człowiek bez żadnego ukształcenia umysłowego niemógł mieć żadnego systematu.” — zdaje się nawet wierzyć we wszystkie śmieszne baśnie, jakie o nim mówiono i pisano — mówi *np.*: „Tęm bardziej niechęć was prowadzić za tym czarownikiem do jego pracowni, gdzie przygotowuje kamień filozoficzny, albo w krainę duchów, u których rady i pomocy zasięga” — „Z tē m wszystkiē m, powiada następnie, wpływ Paracelsa był potężny, choć zwaliwszy stary systemat Pathologii nowego lepszego niezbudował, jednak on to pierwszy niesłychanym dotąd przykładem pokazał jak słusznie wątpić trzeba w prawdy od tysiąca lat ustalone — Przy całym bezrozsądku, on pierwszy wiele jasnych, pożytecznych pomysłów zbadania natury i chorób wyprowadził, i wzniesienie się sztuki lekarskiej zaczęło się od Paracelsa! Wreście przez odkrycie lekarstw mineralnych, jeżeli sam wiele niezdziałał, zostawił drogę potomności do nowych odkryć — a jeżeli to tylko zrobił, już zasługuje

na imie dobroczyńcy swego wieku—kto w XVI stuleciu naprowadzał lekarzy na drogę natury, ten przez to już zyskał sobie nieśmiertelną sławę— szkoda tylko, że zaćmił te zasługi, burzliwą ręką wywracając a nie odbudowując, tym sposobem przywołałby przyszłą rewolucją sztuki lekarskiej! Ale genjusz jego uległ pod tém, co jego wiek uważał za najwyższą mądrość pod Theosofią i Kabałą.”— (*Hecker*).— Pomimo to wszystko dość za nim powinno mówić ubóstwo, w którym żył, bezustanne prace, żądza naprowadzenia lekarzy na drogę własnych doświadczeń— wszystko to niecenili ani obecni, ani następni, którzy w nim, jak ciemny człowiek w starożytnym gmachu, widzieli tylko szpary, nierówności — a nigdy oryginalność i śmiałość genjalną. Kilka wyjątków z jego pism najlepiej pokażą co myślał i jak chciał— „Nie, uważaj na moją nędzę czytelniku, zostaw mi, niedole, niech je sam znoszę — Mam ja w sobie dwie ułomności : ubóstwa i wstrzemię, żliwość; — ubóstwo zarzucają mi urzędnicy i, doktorowie, co to w jedwabiach chodzą i nie, mogą znieść, że lachmanami świecę przed

„słońcem — to też za to sąd wydali, że nieje-  
 „stem doktorem, a umiarkowanie zarzucają mi  
 „Xięża, bo Wenerze czołem niebiję, bo ich  
 „niecierpię za to, że uczą, czego sami nie-  
 „czynią.”

Przeciw społecznym lekarzom najwięcej wyrzucił zlorzeczeń — zdaje się że prześladowcy jego niemogli silniejszych znaleźć ciosów nad te, któremi on każdego, kogo tylko dotknął, obalał. Nie mógł znieść ich życia próżniackiego, ich szperania po książkach i braku doświadczenia — Sławny Bakon to właśnie dążenie jego widzi wielkiem i uważa go za człowieka, który na sto lat pierwój czuł potrzebę zwaleni spróchniałej budowy nauk, aby wznieść nową mocniejszą (12).

„Wy to sami, powiada Paracels we wstę-  
 „pie do księgi Paragranum, krzyczycie, po-  
 „nieważ nauka wasza kruchą jest i śmiertel-  
 „ną — lecz sztuka lekarska niewyrzeka prze-  
 „ciw mnie, bo ona jest nieśmiertelną i na wie-  
 „czystych oparta podstawach; pierwój niebo i  
 „ziemia skruszą się, nim ona upadnie, a jeśli  
 „mi sztuka lekarska pokój daje, i cóż mi zna-

„czą krzyki śmiertelnych lekarzy, którzy dla  
 „tego tylko wyrzekają, że ich wywracam i  
 „niszczę — to właśnie jest dowodem, że oni  
 chorują na medycynę” — W inném miejscu mó-  
 wi: „powiedzcie mi kto wchodzi w istotne wrota  
 „sztuki lekarskiej (*Labirynthus medicorum*)  
 „czy ten który idzie przez Avicennę, Galena,  
 „Mezue, Rhazesę i t. d. czy ten który idzie  
 „przez światło natury? ponieważ dwa są wcho-  
 „dy — jeden w ogłoszonych już książkach, a  
 „drugi przez naturę — pewno że światło na-  
 „tury stanowi wrota istotne, a drugie prowa-  
 „dzą gdzieś na dach, ponieważ się sami z so-  
 „bą niezgadacie — Co innego są prawa pisa-  
 „rzy, co innego światło natury.” — Piękną jest  
 jego wzgarda nauką martwą, zasadzoną tylko  
 na licznych wiadomościach bez mądrości i wyż-  
 szego pojęcia: „Z natury człowieka wynika,  
 „że już od dziecka uczyć się pilnie musi; z po-  
 „dobnej pilności tworzą się ludzie mądrzy,  
 „ale nie mądrością niebieską, lecz natury zwie-  
 „rzęcej, jako papugi gadać umiejące, jak  
 „pies skaczący przez obręcz. Pilność wasza  
 „zrobi was uczonemi i dowcipnemi, lecz zo-



„staniecie w naturze zwierzęcej i w tej będziecie jeden drugiego przewyższać jak pies, kondel przewyższonym jest od charta, a ten od psa legawego; i przeto też jeden z was będzie w mieście, drugi na wsi, inny u dworu Xięcia, i ten będzie lisem Herodowym i czeladnikiem jego dworu, jeden zostanie dzikiem, drugi swojskim, jeden dobrze, drugi źle odzianym.”

Chociaż Paracelsowi najbardziej zarzucają chętność, nikt jednak nie był z pisarzy umiarkowańszy nad niego w ogłaszaniu nowych pism — po części że czuł, iż pisać i pożytecznie pisać są to dwie różne rzeczy, a po części, iż niedbał o sławę — dedykował też swoje dzieła za zwyczaj przyjaciołom, a nigdy wielkiemu światu; i tak np. księgę *De generatione Animalium* poświęca jednemu z przyjaciół z następnymi słowy.

„A przeto szczerzy przyjacielu i bracie po nieważ tobie wyłącznie to dziełko przypisuję, a nie komu innemu, proszę cię przeto abyś je u siebie, jako drogi klejnot schował i aż do śmierci nigdzie go nie dawał, a nawet po

„śmierci takie, jakie je masz, swoim potomkóm  
 „i dziecióm przekazał, aby i oni również przy  
 „sobie je ukryli — Niech ono w twoim tylko  
 „rodzie się zachowa, i nigdy w ręce Sophistów  
 „i szyderców nie wpada, którzy wszystkiém,  
 „co nie brzmi na ich nótę, pogardzają i spo-  
 „twarzyć pragną. — Są oni nieprzyjaciółmi  
 „wszelkiej mądrości, a przeto wszystko za  
 „nie mają; głupi to są ludzie, nie im się nie  
 „zda, bo niczego użyć nie umieją.”

Poszanowanie dla wieku we względzie nauk  
 uważa za zupełnie niepotrzebne, jest owszem  
 tego zdania, że nauczyciel powinien się cie-  
 szyć, kiedy go uczeń przewyższa. „W sztuce,  
 w mądrości powinien wiecznie starać się uczeń  
 przewyższać nauczyciela i przerastać tak, jako  
 nowe książki, które starym chwałę odbierają.”

Chociaż sam aż nadto nie uważał, kiedy  
 ma uderzyć na wrogów, jednakże o wyborze  
 odpowiedniej pory do działania najpiękniej  
 mówi: „Piękna to jest rzecz róża, ale po-  
 „trzeba rok cały czekać nim będzie krzak,  
 „a na nim pączek, a z tego kwiat.— Kto woli  
 „ziele różanne, nie doczeka się róży, czyż

„tego nie wiecie, kto pączki będzie uważał  
 „za róże, pozrywa je i cóż zyska? Ale ten,  
 „kto będzie oczekiwać, jak natura każe, aż  
 „wszystko wzroście, ten róży doczeka. Tak  
 „natura rozporządza, a nad nią coś jeszcze  
 „wyższego, nieśmiertelnego.— A przeto niech  
 „się nikt przed czasem nie chełpi, że zyska,  
 „ale z nadejściem czasu niech zbiera.—Ten,  
 „który nie uważa na czas, zostanie błędzą-  
 „cym i zwodzicielem, bo wnet kruszy się,  
 „co w swoim czasie nie wzrosło.”

O! kiedyż, jeśli nie dziś, następne słowa  
 powinny być wielkimi głoskami wypisane na  
 wszystkich książkach; „Prawda tylko powin-  
 „na być pisaną, a gdzie wątpliwość macie,  
 „albo nie znacie podstawy, tam pisać prze-  
 „stańcie. Nie tylko to o sztuce lekarskiej  
 „się rozumie, lecz i o historii i o innych  
 „pracach umysłowych.— Z tej to przyczyny  
 „kłamstwa krążą w narodzie, bo lud bardziej  
 „lubi ciemności aniżeli światło, i przeto też  
 „wam, którzy piszecie, muszę dać przestro-  
 „gę.— Pismo mówi;— zgłoska zabija, duch  
 „daje życie.— Teraz rozważcie co jest

„z dwojga zgłoską a co duchem?— To jest  
 „duchem, co tylko prawdę w sobie ma— ten,  
 „który samą tylko prawdę w sobie ma, na-  
 „pisze zgłoski, ale prawdy, co są duchem,  
 „który choć w sobie niewidzialny jest, prze-  
 „cież musi być albo napisanym, albo sło-  
 „wami ogłoszonym. A cóż jest zgłoską?—  
 „to, co jest kłamstwem, a jest napisaném.—  
 „Nakłamanými to zgłoskami człowiek zabija  
 „drugich— i przeto niech każdy usiłuje pra-  
 „wdę pisać, aby nikogo nie zabił.”

„Najwyższość, jaką my lekarze w sobie  
 „mamy, jest to sztuka, obok niej stoi mi-  
 „łość bliźniego, a do obojga przywiązana  
 „wiara.”— „Miłość w wielkich rzeczach jest  
 „nam udzieloną od BOGA, abyśmy ją wzaje-  
 „mnie drugim udzielali, bo od niego ona  
 „jest i przez nas spływać powinna na pra-  
 „gnących.— Im ona jest większą, tém ob-  
 „fitsze otrzymamy owoce, im bardziej jest  
 „zmniejszoną, tém większy będzie ich niedo-  
 „statek.— Bo miłość jest to, co uczy, i bez  
 „niej żaden powstać nie może lekarz.— Do  
 „niemniej wysokich darów należy wiara, to

„jest ufność w naszej nauce i nadzieja że  
 „nas nie zawiedzie. Jeśli zbywa nam na  
 „wierze, będzie zbywać na jej pożytkach.—  
 „Wiadomo bowiem jest, że kto nie ma na-  
 „dziei, ten jest bezsilnym.—Bo ten tylko  
 „wie, kto wierzy—kto nie wie, ten nie ufa  
 „ale powątpiewa—a kto umie i ufa, nie  
 „błądzi i nie powątpiewa.—A przeto leka-  
 „rze! co nam pomoże imię, znaczenie, ka-  
 „tedra jeżeli w nas tych trzech darów nie  
 „ma?—One to robią lekarza a nie imię, ani  
 „znaczenie, ani katedra.—Co nam z tego,  
 „że wysoko nas cenią? że pyszniemy się!  
 „kiedy sztuki nie znamy?—Cóż z tego, że  
 „jesteśmy wysoko szacowani u Książąt, Pa-  
 „nów, mieszczan, włościan, że dostępuje-  
 „my wielkich godności, sławy, rodu, kiedy  
 „w nadejściu godziny potrzeby, gdzie ma-  
 „my zapłacić jak przystoi na godność naszą  
 „za nabyte zaszczyty tych cnót z sobą nie  
 „mamy? I któryż z tych co gonią za sławą  
 „i pieniędzmi, godnie odpowie sztuce lekar-  
 „skiej!”

W inném miejscu: „Nauka ani się dzie-

„dziczy, ani z ksiązek wyucza, lecz ją trze-  
 „ba często pożywać, przeżuć i strawić.”

„Najwyższą i pierwszą księgą lekarza jest  
 „mądrość, bez téj księgi nie będzie poży-  
 „tecznym, a mądrością zowie się, jeśli kto  
 „wie a nie chęłpi się z tego. Jako słońce  
 „świeci nad nami, tak powinny nam nauki  
 „z góry przyświecać.” — „Wy się ciągle uczy-  
 „cie a nie możecie ani do nauki, ani do pra-  
 „wdy dostąpić.”

„Jeżeli mówicie: dość nam na książ-  
 „kach, które mamy: to wam brakuje pod-  
 „stawy w sztuce lekarskiej, bo nowe czasy  
 „nowe książki przynoszą, a stare obalają—  
 „to właśnie błąd wasz, że nie widzicie na-  
 „tury w jéj własném świetle, że nie szuka-  
 „cie początku wszystkiego w naturze, ale  
 „w martwych głoskach, które są najkruch-  
 „sze — i jak uczycie się w eieniach, tak  
 „też jesteście ciemnymi lekarzami (*Schatten-  
 „ärzte*).”

Można tu bez wątpienia przytoczyć wiele  
 miejsc, w których Paracels występuje przed  
 swoimi sędziami z nienaśladowanemi pomy-

słami. Wiele miejsc wprost odnoszących się do sztuki lekarskiej, choć pełne energii i mogły mieć kiedyś wartość, dzisiaj nie mają znaczenia.— Pomysły jego filozoficzne i w dochodzeniu prawdy równie mocne od czasów jak uczeni pozbyli się zmyslenia średnich wieków i więcej zaczęli szukać praw w rozumie aniżeli w rozognionej imaginacji straciły na wartości.— Wyobrażenia jego obudzają więcej ciekawości niż korzystnymi być mogą, wszędzie tajemniczość, siły duchów, słowem kabała hebrajska przemaga.— Paracels bowiem choć naprowadził wszystkich na drogę natury, w rozumowaniach zdrowej fizjologii podobno sam najdalej odstał od niej.—Wiecznie tu, jak w abstrakcjach metafizycznych, mamy do czynienia z wyrazami niezrozumiałymi; ciągle zapelniają scenę duchy: powiada np. „są pośrednie duchy (*substantiae inter-mediac*), zapewne środek trzymające między „aniołami i ludźmi, te żyją w czterech żywiołach, mają swój rząd i sposób życia.— „Ciała ich są materjalne, muszą więc potrzebować pokarmu; jedne żyją w głębi

„ziemi, w jaskiniach i przepaściach, są to  
 „pigmeje albo gnomy, duchy gór — inne  
 „mieszkają w wodzie, są to Nimfy — inne  
 „w powietrzu, te się zowią Lemuzy albo Le-  
 „muzyny — inne w ogniu, Salamandry albo  
 „wulkany.” — Dalej dzieli na nadziemskie albo  
 Pennaty i podziemne Gnomy — następnie  
 mówi: „są ludzie, którzy żyją w czterech  
 „żywiolach i w pierwszych chwilach świata  
 „byli uważani i błagani jak Bogowie: i dla  
 „tej to przyczyny Przedwieczny w prawie  
 „pierwszy raz podanem zastrzega: nie bę-  
 „dziecie mieli żadnych Bogów przede  
 „mną, przez to się rozumie, ani Nimf, ani  
 „Syllów, ani Pigmejów, ponieważ on tylko  
 „sam jest BOGIEM.” Temi i tym podobnemi  
 wyobrażeniami, które zapewno poczerpnął  
 w Mythologii greckiej, w religji Indów, a  
 nawet w samej filozofji Platona, bardzo ła-  
 two mógł zyskać Paracels nazwisko Marzycie-  
 la; w podobnych jego pomysłach przebijała  
 się doskonale cała nauka niepojętości Egip-  
 skich, wręście poezja gminu.— „Pięć jest  
 „Entia (mówi), z których wszelka choroba



„wynika, to jest: *Ens Astrorum, Ens veni, Ens naturale, Ens spirituale, nakoniec Ens Dei.*” — *Ens* tak tłumaczy: *Ens, ist ein Ursprung, oder ein Ding, welche Gewalt hat den Leib zu regieren.*” — Pierwszy on zwał medycynę Humorystyczną, lecz natomiast ciała chemiczne grają u niego wielką rolę, wszędzie znajdziesz *Sal, Sulphur Mercurium* i t. d. (obszerny rozbiór *Systematu Paracelsa* ob. *Pragmatische Geschichte der Arzneykunde t. 3.*) Odkąd Bacon wskazał drogę jedyną naukom i postęp ich o kilka wieków przyspieszył, nikt nie ceni płodów uczonych wielu i wielkich ludzi, których całym błędem była mistyczność, ta cecha wieku, w którym żyli. — I imię też Paracelsa zostanie w Pamiętnikach nauk, jak wspomnienie czegoś wielkiego, ale bezużytecznego — będzie ono zawsze hańbą uczonym jego wieku, pomnikiem niedołężności i samolubstwa lekarzy i filozofów czasów, w których żył i cierpiał.

Rozwodzić się nad jego dziełami, zakręcić pisma mego nie pozwala — napisał ich tyle, że trzeba życia na ich przeczytanie, a jeszcze

więcej na zrozumienie. Liczba jego pism, według Bodensteina, ma stanowić 364 pism, z których 230 filozoficznych, 46 lekarskich, a 66 o tajemnicach natury.—Pism za życia nie wydawał, zbyt bowiem wiele przeszkód stawili mu jego nieprzyjaciele, i po śmierci wiele wyszło, albo wiele niedorzeczności pod jego imie podrzuconych, aby i pamiątkę jego podać w upodlenie, albo też przepelniano je myślami nędznymi, lub całe stronicę przekreślano. Tak jest potężna zemsta i nienawiść. Po śmierci jednak Paracels miał wielu obrońców ze swoich uczniów, jakimi byli: Adam Bodenstein, Michał Toksites, Jan Huser, Oswald Kroll, Jakob Gohorri Proff. w Paryżu, Józef Michäl lekarz w Middelburgu i inni, Severin jednak był pierwszy, który usiłował wyobrażenia Paracelsa podnieść do znaczenia systematu.—Również czynnym był Huser (13). Najgodniejsi wspomnienia stronnicy są Poter, Sennert, Mynderer, Mynsicht, Rolfink i River — pomiędzy trzymającymi się szkoły Jatrochemicznój wspomnienia warci Zach. Lusitanus, Salmuth, Guil Bol-

lonius, Bertolnius, Tulpius, Denierbroëk, Piso i Tim a Guldenklec.—Lecz daleko więcej i stokroć zaciętszych miał wrogów, których imiona i pisma, równie jak i wielu chwalców, dawno zbutwiały, i nawet Antykwarjuszowi na nie się nie zdadzą.—Wszystko, co za nim i przeciw niemu pisano, przekonywa tylko o téj prawdzie, że jedynie wielki człowiek może tak potężnych mieć obrońców i wrogów, tylko genjusz może zrobić taką rewolucją umysłową, w mózgach tak ospałych i spokojnych, jak filozofów ówczesnych.—Nie mówię to żebym go uwielbiał i widział w nim mądrość godną naśladowania, bo dosyć znać ziarno dzisiejszego dążenia umysłowego, żeby odrzucić wszelkie inne—ani cenię jego sposobu widzenia rzeczy, co jest za karłowate na dzisiaj choć było potężne na owe wieki, lecz dziwię się nad jego energiczną nauką, niespracowanym umysłem, pojmującym z równą łatwością praktyczną stronę umiejętności, jak i wyuzdane wyobrażenia fantazji; dziwi mnie ta głowa zapalona, która jednak, pomimo całej imaginacji, pracując nad Alchemją,

mogła się uwolnić od błędu swego wieku, od trawienia marnie czasu nad wynalezieniem kamienia filozoficznego — co więcej, zdołała wielki krok uczynić, krok pożyteczny dla młodocianej Chemji. Dziwi mię wręście najmocniej ta siła duszy, która najczęściej karleje w miarę rozpuszczonej na wolę imaginacji, a która jednak w nim, przy całej fantazji prawie poetyckiej, istniała — to jego życie dziwne, niespokojne, zmienne, pełne prześladowania, ubogie, prawie żebracze, a przecież sławne — życie tak szczególne, że dziwna rzecz, czemu w nim dotąd Niemcy nie stworzyli drugiego Fausta, bohatera cudów, czarodziejstwa, słowem, plód ognistej wyobraźni.



**P R Z Y P I S K I**

**DO VI. PARACELS.**



## PRZYPISKI.

- 1) *Chrysorrhoas sive de Arte Chemica dialogus quo praeclarissimas huius scientiae actiones rationi ac rationalibus principiis consentaneas esse demonstrat, impostorum vero et sycophantarum somnia et nugae detegit.* Ciekawa ta rozmowa między Theophrastem i Chrysophorem, dla obszerności swojej nie może tu być całkowicie umieszczoną — oto kilka wierszy, które aż nadto dowodzą, że Paracels nie błąkał się po manowcach alchemji. «*Chrysophorus*: Arabowie powiadają, że wszystkie metalle z jednokowych powstają pierwiastków, to jest z żywego srebra i siarki; a więc z żywego srebra i siarki złoto zrobić można? *Theophrastus*: Gdybyś powiedział Cynober, zgodziłbym się, ale czyż tego nie pojmujesz, że co innego jest zrobić, a co innego zrodzić? jasny i bijący dają ci tego przykład: gdyby ci kto dziesięć ziarn żyta przyniósł i powiedział, że z niego nieskończona ilość chleba może być zrobiona, ponieważ to pojmiesz łatwo, uwierzysz i zrozumiesz, że do tego potrzeba rozmnażania się i czasu, bo nie pole, ale czas, jak niesie przysłowie, daje kłosa. A gdybyś teraz wziął człowieka z najodleglejszych kończyn Indji albo Islandji, który ani nasienia, ani zasiewów nie widział nigdy, a ty gdybyś mu nie chciał powiedzieć otwarcie, ale tylko zada-

„wał same Enegmata: jako ziemię naprzód zaprawić,  
 „jak rozdrobić ziarna, rozpuścić, zostawić do skrze-  
 „pnienia (widzisz że twojemi tu mówię słowami) i prze-  
 „trawienia, nie pojmie ciebie, aż wytlómaczysz, że  
 „trzeba ziemię zaorać, przerzucić skiby, rzucić w nie  
 „nasienie pewnym porządkiem i w pewnej ilości i czekać  
 „aż wszystko wzrośnie i dojrzeje, a po zżęciu wszystkie-  
 „go przemienić trzeba w chleb — a jednak enegmata  
 „twoich książek są jeszcze niezrozumialsze.— Co zaś ty-  
 „cze się książek twoich, nie zaraźliwszego z nich wyni-  
 „knąć nie może nad to, że ćma się takich zjawia, któ-  
 „rzy się wystawiają za wykładaczów pism starożytnych.  
 „Tym to imieniem i Lullus siebie nazywa, który jak wiele  
 „innych, tak i tę naukę (chemję) obrzydliwie zbrukać  
 „usiłuje, pragnie wszystkiego nauczyć, choć sam nie  
 „nie umie, do tego szaleństwa doszedł, że chce pićwój  
 „nauczać drugich niżeli siebie.”— I gdzież tu jest ów  
 Alchemik zagorzały!

- 2) O związkach ze zlemi duchami i o zapisach duszy czytaj ciekawe dzieło pod tytułem: *Młot na czarownice*, jedne- go z Prałatów Katolickich, który przeszło 300 ekzekucij w podobnym rodzaju odbył.
- 3) Te słowa prawie każdy piszący o Paracelsie kładzie za dowód jego zarozumiałości i nieokrzesania:— Pan Wiszniewski, który pićwwszy u nas zrobił jaką-taką wzmiankę o nim, poszedł za poprzednikami, za tych kilka wierszy obdarzył także Paracelsa imieniem szarla- taua, przecież wspomniemy, że wielu wielkich ludzi w chwili szalonej złości, puściwszy wodze słowóm, ró- wnież granice skromności przeszli.— Wspomnijmy kar- czemne klótnie Orzechowskiego z Rsiędzem Stankarem, a przecież nie powie Pan Wiszniewski, że Orzechowski był głupcem.— Jeden ze znamienitych professorów filo- zofji na publicznej lekcji raz mówił o Kancie: „*Kant, ich will dir ein Dorn, Kantianer, ich will euch ein Stachel sein, auf dass niemand von euch bleibe, der an die Wand.....!*” a przecież nie potępiono go za to.— Są to błędy rozegnionej wyobraźni.



- 4) Zdaje się, że z nikim słuszniej nie może się porównywać Paracels, jak z Lutrem—obaj równie energiczni—równie pragnący reformy, równie silną bronią wojowali z nieprzyjaciółmi.—Pisał raz Luter do Papieża Leona X. :—  
 » Cóż warta sól, jeśli nie szczypie? cóż warte ostrze miecza, jeżeli nie jest tak ostre, ażby mogło przecinać?—  
 Te słowa warto na czele życia Paracelsa umieścić, bo w istocie żył według nieb. Pałac jednakże Paracelsa dzieła Galena, i z taką uroczyością (jak mówi jeden z Anglików: *in a brass pan with sulphur and nitre*), za nadto fanatyzm posunął.
- 5) *Geschichte der Arzneykunde Sprengel* t. III.
- 6) Nagrobek jego na murach kościoła lazaretnego w Salzburgu wzniesli najprzywiązani uczniowie jego z napisem następnym: *Conditur hic Philippus Theophrastus insignis medicinae doctor, qui dira illa Vulnere, lepram, podagram, hydropsin aliaque insanabilia corporis contagia mirifica arte sustulit, ac bona sua in pauperes distribuenda collocandaque ordinavit. Anno 1541. 21. Sept. vitam cum morte mutavit. Laus Deo, pax vivis, requies aeterna sepultis.*
- 7) *Laudanum* lekarstwo dziś nieznanome, sądzono powszechnie, że z metalicznych składało się pierwiastków.
- 8) *Er hatte auf seinen Reisen durch einen unbekanntem Zufall das Patrimonium virile gröstentheils verlohren*—tak pisze jeden z jego biografów, dalej dziwy jeszcze większe dodaje, jakoby chciał Chemicznie stworzyć człowieka! *Und wirklich soll er ein solches Unding Homunculum arte Chemicu praeparatum, wie man es zu nennen pflegte aus einer haltbaren Masse gebildet haben, das wie andere Erdensöhne lebte, athmete und sein Wesen trieb wo es wollte.*” Cudownie i śmiesznie! O tworzeniu i niszczeniu sztucznem natrafić można często w średniego wieku pisarzach.—Ówże powiada o kamieniu Paracelsa, którym wszystko miał obracać w nicieść, który później powtórnie wynalazł Helmont i nazwał Alkabest, jest to Basiliusa *Valentine Spiritus mercurii*, a innych *Mercurius Phosph.*

- 9) Jak *Paracels* był czynnym, i jak chciał wszystko z gruntu odmienić, widzimy to na Aptekach.—Przed czasami jego Apteki nie różniły się niczém od sklepów handlowych; Apteka była razem cukiernią i handlem konfitur i przypraw kuchennych, w niewielkiej tylko ilości znajdowały się lekarstwa, a i te ograniczono do ziół, syropów, powideł, kilku dziwacznych elixyrów i tym podobnych rzeczy.—Lekarze ówczesni bardzo obojętnie patrzali na ten bezład, Aptekarze bowiem (jeśli warto dać im to nazwisko), grzecznością a bardziej darami, słowem każdym sposobem obowiązującym, starali się zyskać ich pobrażanie, i zapewno łatwo zyskali przebaczenie od tych, którzy ospali na dobro publiczne, większego podobno potrzebowali sami — *Paracels* dopiero zaliczył Aptekarzy do wydziału Naukowego, wprowadził ścisły porządek, pociągnął chybiających przeciw niemu do odpowiedzialności, oznaczył taxę, wprowadził urzędowe rejestra i naznaczył czas przeglądów, słowem, wydobył Apteki z upodlenia i zrobił je użytecznemi dla społeczeństwa.
- 10) List Erazma z Roterdamu do *Paracelsa* tak się zaczyna :  
*« Rei medicae peritissimo Doctori Theophrasto, »* pisze tam : *« Demiror unde me tam penitus roris semel dumtaxat visum. Aenigmata tua non ex Arte medica, quam nunquam didici sed, ex misero sensu verissima esse agnosco. (Adam Lebensbeschreibung berühmter Deutscher Aerzte). Paracels* bowiem wyleczył go dawniej z ciężkiej choroby.
- 11) *Auctore J. N. Nobili de Reimann Principia Pathologiae et Therapiae.*
- 12) *Novum Organon.*
- 13) *Bücher und Schriften des Edlen hochgelehrten und berühmten Philosophi und Medici Ph. Theoph. Bombast von Hohenheim Paracelsi genannt edit. durch Joannem Muserum. Brisgovium II. Theil. in 4to. Basel 1589—91.*





## SPIS RZECZY

w tomie pierwszym zawartych.



	<i>Stronica</i>
I. Ines de Castro . . . . .	9
II. Gorączka . . . . .	35
III. Lekcja Anatomji Serca . . . . .	57
IV. Fatalizm i Duch . . . . .	95
V. Szkie Filozofji Greekiej . . . . .	143
VI. Paracels . . . . .	177
Przypiski do VI. . . . .	227



